WARSZAWA, 15 MARCA 1935 R.

wiadomości turystyczne

25 gr.

Rok V. Nr. 6.

dwutygodnik poświęcony turystyce, komunikacji, uzdrowiskom, hotelarstwu i przemysłowi turyst.

Kto winien tragedji na Babiej Górze?

Przebiegu samej katastrofy nie będziemy tutaj powtarzali. Data 14 lutego zbyt bliską jest jeszcze, aby szczegóły tragicznej wyprawy czterech narciarzy na szczyt Babiej Góry mogły zatrzeć się w pamięci. Pragniemy jednak przypomnieć kilka najistotniejszych szczegółów tragedji, z których wynika jasno, kto ponosi za nią odpowiedzialność.

PODEJŚCIE O ZMROKU W CZASIE ZAMIECI

Czterej narciarze rozpoczynają podejście w dniu 14 lutego o godz. c z w a r t e j popołudniu, w czasie śnieżycy. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że ani jedna z tych osób nie była początkującym narciarzem. Wszyscy posiadali za sobą kilka lat trenigu i praktyki i z terenem byli obeznani. Pomimo to zaryzykowali rzecz wprost s z a l o n ą, która w jednym przypadku na tysiąc mogła się skończyć bezkarnie. Ludzie ci zwyczajnie nie zdawali sobie sprawy z tego, czem jest takie podejście, albo też liczyli na to, że właśnie oni będą stanowili ów wyjątek. Gajowy na Głuchaczkach ostrzega ich przed podejściem. Nie słuchają.

MIJAJĄ JEDNO SCHRONISKO, DRUGIEGO NIE ZAUWAŻAJĄ

Na wysokości ok. 1225 m są już w czasie głębokiej nocy, podczas burzy śnieżnej. Znajdują się obok schroniska P. T. T. Dzierżawca schroniska widzi ich. Schronisko jest oświetlone. Nie zatrzymują się, idą dalej. Pomiędzy 11 a 12 w nocy są na szczycie Babiej Góry. Nie kierują się drogowskazami i nie znajdują schroniska B. V. Istnieje wersja, że przeszli obok niego w odległości 3 m, nie zauważywszy go. Bardzo możliwe. Jak wynika z listu dozorcy schroniska, okna zarzucone były 30-centymetrową warstwą śniegu i nie mogły przepuszczać światła z wewnątrz, nawet, gdyby się ono paliło. Wicher o szybkości 32 m/sek. „poprostu bije o ziemi człowiekiem", i wściekle ryczy. Wokoło burza śnieżna. Nie tylko o 3 m, ale nawet o 1 krok nic w takich wypadkach nie widać i nie słychać. Najgłośniejsza syrena nie pomogłaby tu. Tragiczni narciarze przechodzą obok schroniska, walcząc z wichrem i nie wiedząc, że ratunek znajduje się o 3 metry od nich. Dalej czatuje na nich śmierć.

WIĘCEJ NIE WRÓCILI

Trzy ciała znaleziono po upływie 3 dni. Czwartego, ś. p. Frysia, do dzisiejszego dnia nie znaleziono, pomimo bezustannych poszukiwań w zwałach śniegu i prawdopodobnie dopiero w czasie odwilży wiosennej uda się ciało odnaleść.

Pochodzili z Andrychowa i Wadowic. Zwłoki odnalezionych pochowano wśród ogólnej żałoby dwu miast. W pogrzebie wzięła udział literalnie cała ludność Wadowic i Andrychowa. Towarzystwa i związki wystąpiły ze sztandarami, które pochyliły się w ostatnim hołdzie nad ofiarami białej śmierci. W obydwu miastach do dnia dzisiejszego panuje żałoba.

ROZPOCZYNA SIĘ SZUKANIE WINOWAJCY

Część prasy korzysta z tragedji. Przedewszystkiem sensacja, na której można coś zarobić. Następnie — dobra okazja do porachunków. Reporterzy kurjerkowi, cepry, które nigdy gór na oczy nie widziały, rozpoczynają taniec nad świeżemi mogiłami.

Kto winien?

Dla nikogo nie ulega kwestji, że tylko... Beskidenverein, jako właściciel schroniska na Babiej. Dlaczego nie było świateł? Dlaczego nie było sygnałów dźwiękowych? Dlaczego brak słupów drogowskazowych do schroniska?

Oliwy do ognia dolewa list brata jednej z ofiar, ś. p. Frysia, który, niewątpliwie pod wpływem bólu i rozgoryczenia, pisze, że winowajcą jest właśnie Beskidenverein, dlatego, ż e p o s t a w i ł s c h r o n i s k o n a s z c z y c i e Babiej Góry. Zdaniem p. Frysia, gdyby nie było wcale schroniska, narciarze nie liczyliby na nie i nie zapuszczaliby się w tych warunkach na szczyt. Zostali oni więc wprowadzeni w błąd przez istnienie schroniska, którego nie mogli znaleść. Beskidenverein zaś, budując schronisko, wziął na siebie moralną odpowiedzialność za to, że zbłąkany turysta znajdzie doń drogę.

Pomimo całego współczucia dla bólu nieszczęśliwego brata, czy można tego rodzaju oskarżenie uważać za, powiedzmy, rozsądne?

Oskarżeń takich było więcej. Nie przytaczamy ich, ze względu na prymitywnie niski poziom.

Z oskarżeń tych jednak zasługują na oświetlenie trzy zasadnicze punkty: po pierwsze: gdzie były drogowskazy, po drugie sprawa sygnałów głosowych w czasie burzy, po trzecie zaś sprawa światła. Rozpatrzmy je.

PARK NARODOWY, CZY TERENY NARCIARSKIE?

Beskideverein od dawna już znakuje Babią Górę. Istnieje szereg żerdzi, zaopatrzonych w drogowskazy do schroniska. Jest to zresztą specjalnie nasz, polski wynalazek, którego w Alpach np. wogóle nie znają. Mniejsza o to. Dość, że Beskidenverein, znając zimowe trudne warunki na Babiej, wolał zrezygnować z pielęgnowania tradycyj alpejskich, uznanych za klasyczne, na rzecz bezpieczeństwa ludzi.

I oto zaczyna się nonsens, jakich mało. Polski Związek Narciarski, P. T. T. oraz Urząd Ochrony Przyrody w Krakowie żądają z n i e s i e n i a żerdzi, jako szpecących krajobraz. Odnośne listy przytaczamy. Wynika z nich, że wszystkie trzy instsytucje wyżej stawiają piękno krajobrazu, niż bezpieczeństwo życia ludzkiego.

Ochrona przyrody i związana z nią ochrona krajobrazu są niewątpliwie rzeczami wielkiej wagi. Stanowisko nasze w tej sprawie jest dobrze znane, chociażby z zeszłorocznej kampanji o kolejkę na Kasprowy. Korzystamy też z okazji aby jeszcze raz podkreślić naszą zupełną solidarność z celami Rady Ochrony Przyrody i Ligi Ochrony Przyrody. Ale co to wszystko ma wspólnego z Babią Górą?

Babia Góra n i e j e s t p a r k i e m n a r o d o w y m. Stanowi ona teren wybitnie narciarski. Dlatego też zagospodarowanie jej musi być traktowane pod kątem widzenia n a r c i a r s k i m, nie zaś ochroniarskim, a zmniejszenie efektu estetycznego przez postawienie szeregu żerdzi, przyznajmy, nawet szpecących krajobraz, n i e m o ż e b y ć w a ż n i e j s z e m o d ż y c i a c z w o r g a l u d z i.

Zeszłoroczny zjazd turystyczny w Jaremczu postanowił przywrócić znakowanie szlaków narciarskich za pomocą żerdzi. Prof. Kazimierz Sosnowski mówi wręcz, że uważa ten rodzaj znakowania za bezwzględnie pożądany. A jednak najpoważniejsze instytucje skrępowały pod tym względem Beskidenverein!

Czy w tym przypadku nie zaszliśmy czasem zbyt daleko? I czy Polski Związek Narciarski, już chociażby tylko z racji samej nazwy, nie powinien był wziąć bliżej do serca interesów narciarzy, niż spraw ochrony krajobrazu?

Sprawa jest interesująca. Powiedzmy nawet otwarcie, skandalicznie interesująca, ale tylko z teoretycznego punktu widzenia. W praktyce bowiem Beskidenverein n i e z a s t o s o w a ł się do żądania zniesienia znaków. Przeciwnie, jak to wynika z listu prezesa d-ra Stonawskiego oraz z pisma dozorcy schroniska, co rok, przed nadejściem sezonu zimowego, ustawia się na nowo brakujące żerdzie, które w sezonie letnim jacyś wandale systematycznie niszczą. Akcja przeciwko stawianiu żerdzi osiągnęła tylko jeden skutek. Beskidenerein działalności swej w tym kierunku nie rozszerzył. Dalszego znakowania nie przeprowadza się.



Schronisko BV na Babiej Górze, w którego okolicy rozegrała się tragedja.
Fot. z archiwum Min. Kom.

Pereat mundus, vivat... principium!

FIAT LUX!

Kwestja światła, które byłoby widoczne na zewnątrz, wcale nie jest łatwa do rozwiązania. W czasie zawieruchy jest ono niewidoczne już w odległości kilku metrów. Prof. Sosnowski przytacza w „I. K. C." następujące przykłady zawodności tego rodzaju sygnalizacji:

„Dzierżawca niem. schroniska, ś. p. Świerczek, wrócił zimową nocą na nartach z Lipnicy z transportem żywności w plecaku. Pod szczytem ogarnęła go gęsta mgła i mroźne powietrze. W odległości 1 km. do 250 m. od schroniska błąkał się całą noc i nie trafił do domu, choć znał topografję, choć żona w oczekiwaniu jego postawiła lampy w oknach. Odmroził ręce, nogi, twarz, zaziębił się dotkliwie i wkrótce po tym wypadku zwłoki jego zjechały na saniach na Lipnicki cmentarz.

W połowie drogi od szczytu do schroniska wznosi się tuż obok ścieżki kopczyk kamienny z drewnianym krzyżykiem. To grób nieznanego żołnierza, wzniesiony przez czeskich żołnierzy na miejscu, gdzie w zimie w r. 1918/19 znaleziono zwłoki zabłąkanego i tu, pod samem schroniskiem z mrozu i wyczerpania zmarłego i pochowano wojaka".

Normalne oświetlenie nie wystarcza zatem. Wątpliwem jest również, czy nawet silna latarnia, w rodzaju morskiej, przebije całun mgły lub zawieruchy śnieżnej. Narazie jednak ani nasze ani nawet alpejskie schroniska nie rozporządzają tego rodzaju urządzeniami.

Inaczej mówiąc, na sygnały świetlne nie można wcale liczyć.

I GŁOS ZAWODZI

W czasie burzy śnieżnej, podczas której „schronisko się całe trzęsło — choć murowane", jak pisze dozorca Staszek, w czasie wycia wichru, osiągającego szybkość 32 m/sek. jakiż sygnał głosowy mógł być skuteczny? Przecież nawet syrena okrętowa w takich wypadkach zawodzi. A tu żąda się... szczekania psa.

Dozorca schroniska trąbił na rogu. Przyznajemy, że jest to niedostateczne, ale po pierwsze nic więcej nie można było zrobić, po drugie zaś dowodzi to, że jakkolwiek zgóry wiadomo było, że wszelkie sygnały głosowe będą nieskuteczne, jednak dozorca uważał za właściwe zrobić co jest w jego mocy.

NA KOGO LICZYĆ?

Jeżeli się podchodzi w nocy na szczyt góry w czasie zamieci, nie można liczyć na nikogo. Jedyne, na co można liczyć z prawdopodobieństwem 90%, to na tragiczny koniec.

Tak też było i tym razem. Narciarzami kierowało niewątpliwie uczucie szlachetnego ryzyka, tak nierozłącznie związane z alpinistyką zimową. Ale uczucia tego nie można inaczej nazwać jak nierozsądną brawurą.

Znany przodownik narciarski, specjalnie dobrze znający Babią Górę, p. R. Górski, pisze o omawianej brawurze w następujący sposób:

„Niestety, często szlachetna ta walka doprowadzić może do przecenienia sił własnych, do brawury młodzieńczej, która nie chce, lub nie potrafi uznać owej subtelnej i tylko dla literalnie „doświadczonych" (na własnej skórze) turystów dostrzegalnej granicy własnych możliwości. Brawura nie chce się przyznać do tego, że w danej chwili więcej wysiłku woli, więcej odwagi należy do rezygnacji, do kategorycznego rozkazu wewnętrznego: „odwrót", aniżeli do upartego pochodu naprzód za każdą cenę. Moment ten jest oczywiście tem krytyczniejszy, wymagający tem więcej hartu i opanowania się, im więcej dany osobnik w częstych walkach z żywiołem nabrał do własnych sił zaufania nieograniczonego i — co za tem idzie — l e k c e w a ż e n i a niebezpieczeństwa gór".

KTO ZAWINIŁ?

Wniosek stąd jest jasny: zawinili sami nieszczęśliwi narciarze. Kierowani najszlachetniejszą może ambicją sportową, zlekceważyli wszelkie warunki bezpieczeństwa. Zbyt późno rozpoczęli podejście i nie zatrzymali się w schronisku PTT. Reszta była już tylko fatalną igraszką losu, która kosztowała tak drogo.

Jest to jedyny logiczny wniosek. Wszelkie inne przedstawianie winy może dowodzić tylko albo nieznajomości przebiegu tragicznej wyprawy, albo zwyczajnej złej woli.

Tragiczny wypadek na Babiej Górze, jedna z największych katastrof górskich w Polsce, odbił się gromkiem echem w całym świecie narciarskim. Niechaj posłuży on za naukę wszystkim, którzy chcieliby w nierozważny sposób, wbrew kardynalnym zasadom ostrożności, przeciwstawiać brawurę zdrowemu rozsądkowi.

Dokumenty mówią!

Beskidvenerein ma głos!

Bielsko, dnia 4 marca 1935 r.

Do Szanownej Redakcji „Wiadomości Turystycznych"
Warszawa.

Otrzymawszy cenne pismo z dnia 4 marca, korzystamy bardzo chętnie ze sposobności oświetlenia na łamach bezstronnych „Wiadomości Turystycznych" sprawy tragedji na Babiej Górze.

Czego nikt nie oczekiwał, to tego, że istnieją osobnicy, którzy z tej tragedji bardzo chętnie uczyniliby winę Beskidenvereinu. Jak sprawa ta wygląda, wynika z poniższego:

Zarzucają nam:

1) Że znakowania są niewystarczające. Zarzuty te już umilkły, przedewszystkiem wobec ogłoszenia korespondencji w tej sprawie Beskidenvereinu z Polskim Związkiem Narciarskim i Polskiem Tow. Tatrzańskiem, wzgl. z Urzędem Ochrony Przyrody w Krakowie. Zabroniono nam rozszerzenia znakowania. Pomimo to, istniejące słupy zawsze przed zimą odnawiamy.

2) Że schronisko nie było oświetlone. Gdzie w Polsce czy zagranicą oświetla się schroniska ze względu na turystów? Podpisany prezes BV zna dobrze Alpy, nie zna jednak ani jednego wypadku, w którym schronisko byłoby oświetlone dla turystów albo narciarzy. Nawiasem mówiąc słupów również nigdy nie zauważyłem.

Kompletnem głupstwem jest twierdzić, że ś. p. Olejszyk lub ś. p. Fryś zjechali o kilka kroków od schroniska. W tych dniach panowała ogromna śnieżyca, która w kilka minut zupełnie pokrywała narciarzy.

Istnieje tylko jedna możliwość zapobieżenia podobnym katastrofom: n i e c h o d z i ć w n o c y w z i m i e p o d c z a s k u r n i a w y n a s z c z y t y g ó r. Nietylko na Babiej, ale, jak wiadomo, na wielu innych górach, zamarzło już w tych warunkach wielu narciarzy.

Pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć opinję jednego z najwybitniejszych zagranicznych alpinistów, którego prosiłem o zajęcie stanowiska wobec świeżej tragedji. Pisze on co następuje:

„Kto wspina się nocą w czasie zamieci śnieżnej, jak Pan mi pisze, na eksponowany szczyt, wysokości Waszej Babiej Góry, ten sam ponosi winę ewentualnego wypadku. U nas, w Alpach, nikomu nie przyjdzie na myśl odbywać nocą wycieczki narciarskie. Muszę zresztą dodać, że nie posiadamy wogóle żadnych słupów drogowskazowych i posiłkujemy się tylko mapami i kompasem".

Tak pisze zagraniczny rzeczoznawca. Sapienti sat!

Kampanja przeciwko Beskidenvereinowi z powodu tragicznego zaginięcia czterech narciarzy, to rzecz niesłychana, aby nie użyć innego określenia.

O bezstronne oświetlenie sprawy uprasza w imieniu Beskidenvereinu

uniżony prezes
Dr. Stonawski.

Znakowanie jest zabronione!

POLSKI ZWIĄZEK NARCIARSKI 30/1.1933. Nr. 16/33 z dnia 30/1.1933.

P. T. Towarzystwo Beskidenverein, Bielsko

Po porozumieniu i na życzenie Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z Zarządem Głównym P. Z. N. zwracamy się niniejszem do Szanownego Towarzystwa z prośbą o zniesienie żerdzi drewnianych, mających wskazywać zimowy szlak turystyczny dla narciarzy na terenie Babiej Góry. Znaki te bowiem szpecą tamtejszy krajobraz górski oraz nie spełniają w stanie obecnym w sposób dostateczny roli orjentacji turystów w terenie.

W każdym razie Zarząd Główny P. Z. N. prosi o n i e o d n a w i a n i e tych słupów oraz o n i e r o z s z e r z a n i e powyższego systemu znakowania na terenie Babiej Góry.

Z poważaniem
za Z. G. P. Z. N. viceprezes Dr. Boniecki.

Delegat Ministra Wyznań Religijnych Oświecenia Publicznego
DO SPRAW OCHRONY PRZYRODY
Kraków, Lubicz 40. Kraków 7.XII.32 L. p. 3030/32.
W sprawie znaków narciarskich na Babiej Górze.

Do Tow. Beskidenverein, Bielsko.

Doszło do wiadomości, że Zarząd Tow. zamierza w nadchodzącym sezonie zimowym narciarskim ustawić na grzbiecie Babiej Góry szeregi słupów i tablic drogowskazowych dla narciarzy obok istniejących już dzisiaj. O ile ustawienie nielicznych prowizorycznych znaków orjentacyjnych, któreby były usunięte z nadejściem wiosny, nie ma większego znaczenia z punktu widzenia ochrony przyrody Babiej Góry, to u s t a w i e n i e d a l s z y c h t r w a ł y c h s ł u p ó w i tablic drogowskazowych uważam za n i e p o t r z e b n e i s z k o d l i w e d l a k r a j o b r a z u g ó r s k i e g o. Będę zobowiązany za poinformowanie mnie o rzeczywistych zamiarach Tow. i o u s t o s u n k o w a n i u się d o m o j e j o p i n j i.

Prof. Dr. Władysław Szafer.

List dozorcy schroniska na Babiej Górze

Babia Góra 3 marca 1935 r.

Do Tow. Beskidenverein
w Bielsku, Wzgórze 14.

Donoszę Szan. Tow., że list otrzymałem i zaraz się do niego zastosowałem. Słupy są bite ze szczytu do schroniska, co 10 m., a z granicy, przez kopiec, tak samo co 10 m. Światło świecę do 12 w nocy, i dawniej też świeciliśmy przeważnie zawsze do 11 lub 12, bo tak chodzimy spać.

Poszukiwań narazie nie można robić, bo śniegu przysypało nowego, ale jak się tylko pogoda zrobi, to zaraz będę szukał po okolicy i zaraz doniosę do Szan. Tow.

Teraz donoszę, że gajowy na Głuchaczkach zabraniał tym turystom iść do góry, bo było okropnie, ale oni powiedzieli, że się wiatrów nie boją. Wtenczas była okropna śnieżyca. Schronisko się całe trzęsło, choć murowane, nawet po wodę się nie dało iść. Na oknach było przylepione do 30 cm. śniegu, to żadnego światła byłby nie widział, nawet najsilniejszego. Przecież każdy dzień trąbimy na rogu wieczorem, ale wtenczas, jak się brama otwarła, to w dwójkę zamykali i jeszcze ledwo zamknęli, a wiatr całem piętrem ruszał. I gdzie na taki czas jeszcze w nocy iść? Światła i trąbienie mogą pomóc jak jest mgła, lecz cicho, spokojnie, ale jak jest huragan, co wiatr pędzi 32 m. lub więcej na sekundę, i poprostu bije o ziem człowiekiem, i do tego jeszcze noc, to nie pomoże nic!

Nikt tym ludziom nie jest winien ,tylko oni sami, bo poprostu było niemożliwe. W taką zawieruchę można całemi godzinami chodzić nawet o 3 metry koło schroniska, to go nie znajdzie.

Teraz proszę Szan. Tow. zwrócić uwagę, jak są potrzebne słupy i drogowskazy, i jak do tego czasu były niszczone przez nierozsądnych ludzi, że krajobraz szpecą.

Jak tylko będzie co nowego, to zaraz doniosę.

Z poważaniem całemu Szan. Tow.
Staszek, syn.

Z ROZWAŻAŃ O TURYSTYCE

O film turystyczny

Trudno jest dziś podróżować. Turystyka jest drogą przyjemnością. Do zwykłych kosztów, związanych nierozłącznie ze zmianą miejsca pobytu dochodzą nieproporcjonalne opłaty paszportowe. To też wyjeżdżamy rzadko, często zaś tęsknimy do podróży. Ogarnięci tą tęsknotą usiłujemy ją oszukać.

Naszym ratunkiem jest wówczas film, plenerowy oczywiście, ukazujący nam nieznane, a ponętne fragmenty świata.

Jakże mało mamy takich filmów! Ileż razy idziemy do kina w naiwnej wierze, że film będzie wprawdzie słaby, ale może pokażą parę „widoczków". Okazuje się potem, że film był rzeczywiście słaby, a zdjęć plenerowych było trzy, z których jedno przedstawiało mały ogródek, drugie balkon, a trzecie zakurzoną ulicę. Wychodzimy z kina nietylko zmaltretowani złym filmem, ale i rozgoryczeni tem, że reżyser trzymał nas cały czas w czterech ścianach. Wydarzeniem staje się wówczas tygodnik filmowy, w którym można było ujrzeć trochę słońca, wiatru i płynącej wody.

Dlaczego w tak skąpych dawkach udzielają nam takiego filmu? Dlaczego tak rzadko oglądamy na ekranie naprawdę piękny krajobraz? Widzieliśmy przecież kilka takich scen, na podstawie których wyrobiliśmy sobie przekonanie o wspaniałych możliwościach krajobrazowo-turystycznych filmu. Pamiętamy fale morskie, przelewające się z ekranu do pierwszych rzędów krzeseł, palmy, chwiejące się na wietrze, kwiaty wilgotne od kropel rosy. Czuliśmy wtedy słony zapach rozpylonej piany morskiej i słodki zapach kwiatów. Widzieliśmy olbrzymie białe góry i lawiny śnieżne, spadające z hukiem w przepaść. Widzieliśmy, jak pękają podbiegunowe lody, zaglądaliśmy do chatek Eskimosów. Odkrywaliśmy tajemnice Afryki, drżeliśmy przed ryczącym lwem, czuliśmy się stratowani nogami pędzącego słonia. Ale zdarzało nam się to rzadko, prawie tak rzadko, jak daleka podróż.

Dlaczego nie mielibyśmy częściej zażywać tej rozkoszy? Dlaczego nie oglądamy co kilka dni na ekranie błot poleskich, lub tatrzańskich skał? Dlaczego nie pławimy się w śródziemnomorskiem słońcu, nie spoglądamy ze szczytu Mont-Blanc, nie upajamy się pędem samolotu, nie wpijamy wzroku w coraz to nowy zakręt gładkiej jak stół szosy?

Postawmy wyraźnie nasze postulaty. Zwołajmy wielki wiec turystów w teorji — ludzi, których nie stać w tej chwili na podróż, ale stać jeszcze na bilet do kina. Zażądajmy, żeby nam pokazywano na ekranie to, czego nie możemy obejrzeć w naturze. Owszem, chętnie przypatrzymy się najnowszym modelom kostjumów kąpielowych w Miami, ale pokażcie nam również samo Miami. Możemy rzucić okiem na wyścigi konne w Nicei, ale zaraz potem chcemy zobaczyć panoramę miasta, góry, drzewa i morze, nadewszystko morze. Nie mamy nic przeciwko basenowi, pełnemu krokodyli, ale wolimy krokodyle w wodach Nilu. Bardzo nas to emocjonuje, że prezydent Francji przecina wstęgę na targach w Marsylji, ale jakżebyśmy się ucieszyli, gdyby operator pozostawił na chwilę pana prezydenta samego, a nas zaprowadził do dzielnicy portowej, czy na targ rybny, albo zabrał na małą przejażdżkę żaglówką po zatoce. Mógłby nawet umieścić napis: „...w chwili gdy pan prezydent otwiera targi marsylskie, życie portowe pięknej Marsylji płynie zwykłym trybem...". Tak, chodzi nam właśnie o ten zwykły tryb.

Jeżeli domagamy się filmów tego rodzaju, to pretensje nasze skierowane są nietylko pod adresem filmowców. Oczywiście, chcielibyśmy, żeby byli bardziej turystami. Przedewszystkiem jednak mamy pretensję do dyrektorów kin i kierowników kronik filmowych. Bo takich zdjęć, o jakie nam chodzi, jest dużo i to bardzo dobrych. Jednak nie pokazuje ich się. Karmi się publiczność stereotypową mieszaniną uroczystości, rewij wojskowych i imprez sportowych, filmowanych według tak ujednostajnionych formułek, że naprzykład mecz piłki nożnej w Londynie wygląda identycznie, jak takiż mecz w Buenos Aires. Przed paroma miesiącami widzieliśmy w Warszawie wspaniałe reportaże z Wysp Kanaryjskich i Gibraltaru. Świetny operator oczarował nas umiejętnością oddania istoty południowego krajobrazu. Zdjęcia miały specyficzny, przepiękny stalowy odcień. Takich reportaży jest więcej. Chcemy je zobaczyć!

Mówmy konkretnie. Jesteśmy w tej chwili jeszcze w ciągu sezonu narciarskiego. W południowej części naszego kraju tysiące ludzi żyją niezwykłem, fascynującem życiem. Nam — pozostałym tysiącom — z różnych przyczyn nie udało się wyjechać w góry. Chcemy jednak przynajmniej w ciemnej sali kinowej przeżyć krótkie chwile złudzeń. Przecież od czasu filmów Trenkera i paru dobrych fragmentów „Białego Śladu" nie widzieliśmy wogóle udanych zdjęć narciarskich. Chcemy, żeby nas znów oślepiło górskie słońce. Chcemy przypomnieć sobie rozkosz pędu, usłyszeć cichy szum desek. Niech małe sylwetki narciarzy przecinają biały ekran zgóry nadół i niech każda z nich wzbija chmurę śnieżnego pyłu. Pokażcie nam zawrotne biegi zjazdowe i kunsztowne slalomy. Dajcie aparat pędzącemu narciarzowi, niech filmuje w ruchu. Niech się zsunie błyskawicznie po stromym stoku, niech przeskoczy krzak, który mu stanął na drodze, niech się obróci raptem na prawo i na lewo gwałtowną krystjanją.

Mamy prawo do takich zdjęć. Żądamy ich!

S. D.

ROMAN OLSZEWSKI, Warszawa

6-o letni plan budowy dróg

500.000.000 zł. rocznie tracimy przez złe drogi. Zbudujemy 4.760 km nowych dróg

Rozwój motoryzacji w całym świecie uczynił w dziedzinie drogowej aktualnym ten problem oraz sprawę dostosowania dróg do nowych warunków ruchu. Zwiększona waga i szybkość pojazdów mechanicznych powodują niszczenie zwykłych szos. W zachodniej Europie i Stanach Zjednoczonych A. P. już od początku obecnego stulecia zaczęto stosować nawierzchnie ulepszone i obecnie państwa te na większej części swoich dróg posiadają nawierzchnie zupełnie nowoczesne. Tak więc w Danji drogi ulepszone w 100%, we Francji drogi państwowe są już ulepszone w 81%, w Niemczech powyżej 80%. Państwa, w których motoryzacja jest silnie rozwinięta, budują specjalne tory samochodowe, t. zw. autostrady.

Nasze drogi są przeważnie szosami i na 58.000 km dróg o nawierzchni twardej, posiadamy zaledwie 1512 km. dróg z nawierzchnią ulepszoną, z czego na Śląsk przypada 658 km. Na wszystkie inne więc dzielnice pozostaje tylko 854 km, co stanowi zaledwie 1,5%. Zwykłe szosy nadają się do ruchu konnego, lecz już przy tak mało, jak u nas, rozwiniętym ruchu samochodowym, wymagają starannego i kosztownego utrzymania.

Słabo rozwinięta motoryzacja i małe perspektywy szybkiego dorównania pod tym względem państwom zachodniej Europy, nie wymagają narazie w Polsce budowy autostrad. Przy jednoczesności ruchu konnego i motorowego w Polsce najbardziej celową jest budowa nawierzchni ulepszonych z kostki kamiennej, klinkieru, asfaltu lub betonu.

Kraj nasz ponosi setki miljonów strat, wywołanych przez złe drogi. Straty rolnictwa, poniesione w ciągu roku na naszych drogach, ocenia prof. Nestorowicz na 500 miljonów złotych. Przy eksploatowaniu pojazdów mechanicznych dobra droga daje od 20 do 30% oszczędności. Wpływa ona nietylko na potanienie transportu płodów rolnych i wyrobów przemysłowych oraz ułatwienie aprowizacji, lecz również podnosi kulturę kraju i jego dobrobyt.

Droga ułatwia kontakt między narodami przez turystykę, która przy ulepszeniu naszych dróg, w związku z rozwojem motoryzacji, stworzy niewyzyskane dotąd źródło dochodów dla Polski. Obecnie cudzoziemcy unikają naszych dróg. Turysta zagraniczny, przyzwyczajony do doskonałych dróg samochodowych, jest u nas prawie niespotykany, a przyjechawszy raz, nie wraca już, nie chcąc więcej łykać tumanów kurzu, narażać się na niebezpieczeństwo jazdy po wybojach i niszczyć lub łamać swój samochód. Kraj nasz ma piękne zakątki, po całej Polsce rozsiane, ale drogi nasze są często nie do przebycia dla turysty motorowego.

Ulepszenie nawierzchni drogowych winno być przedewszystkiem uskutecznione na drogach o znaczeniu ogólno-państwowem i międzynarodowem, a więc na szlakach, łączących Warszawę ze stolicami sąsiednich państw, oraz ze wszystkiemi miastami wojewódzkiemi, miasta wojewódzkie ze sobą oraz ośrodki przemysłowe, oraz drogi o znaczeniu turystycznem.

Sześcioletni plan Ministerstwa Komunikacji od r. 1935/36 do r. 1940/41 przewiduje wykonanie nawierzchni ulepszonych na długości 4.760 km, przyczem nawierzchni typu ciężkiego w postaci bruku z kostki lub klinkieru, oraz betonowych 1.12 km., nawierzchni typu średniego (gruby dywanik asfaltowy) 2.150 km i typu lekkiego, czyli nawierzchni podwójnie smołowcowanej lub asfaltowanej 1.490 km. Ogólny koszt budowy tych nawierzchni wyniesie zł. 325.300.000.

Ciężkich typów nawierzchni używa się na odcinkach obciążonych od 1.000 ton na dobę, średni typ kładziony bywa na odcinkach, obciążonych ruchem na drogach od 400 do 1.000 ton na dobę. Lekki typ nawierzchni zastosowany ma być na odcinkach obciążonych poniżej 400 ton na dobę, przeważnie na drogach turystycznych, przechodzących przez miejscowości klimatyczne, t. j. tam, gdzie przewiduje się rozwój ruchu samochodowego. Poza przebudową nawierzchni na ulepszone, sześcioletni plan przewiduje budowę 1000 km nowych dróg państwowych.

W roku budżetowym 1935/36 projektuje się ułożenie dalszych 522 km nawierzchni ulepszonych, oraz wybudowanie 135 km nowych dróg.

Prowadzenie tak poważnych robót wzmoże produkcję kamieniołomów, szczególnie kostki. Przy zwiększeniu zapotrzebowania bruku będzie można uruchomić wyrób kostki z kamienia polnego oraz rozpocząć eksploatację twardych piaskowców i szaroglazów, znajdujących się wzdłuż całego Podkarpacia. Wszystkie klinkiernie, t. zn. państwowa w woj. lubelskiem, powiatowa w Zamościu oraz Ołtarzew i Gródek będą dostarczały klinkieru na drogi w ich okolicach położone i będą musiały być nastawione na maksymalną produkcję. Nawierzchnie betonowe, których ułożenie da zatrudnienie naszemu przemysłowi cementowemu, będą budowane tam, gdzie w pobliżu znajdą się piaski, żwiry i dostateczna ilość wody. Drogi asfaltowe i smołobetonowe będą wykonywane na tych traktach, gdzie są widoki rozwoju ruchu samochodowego.

Oprócz materjałów zasadniczych zajdzie potrzeba dostarczenia całego szeregu materjałów ubocznych, jak żelaza, drzewa, węgla, smarów, oliwy, ropy, benzyny, maczki wapiennej etc. Różnorodność materjałów, używanych przy tego rodzaju robotach, świadczy, że droga ulepszona jest olbrzymim konsumentem wytworów przemysłu krajowego. Stworzą się nowe warsztaty pracy, które zatrudnią bezrobotnych. Niezależnie od tego bezpośrednio na drogach i w kamieniołomach będzie zatrudnionych około 26.000 przeważnie wykwalifikowanych robotników.

Jednocześnie z budową ulepszonych dróg nastąpi rozwój przemysłu samochodowego. Zwiększy on spożycie materjałów pędnych, smarów, oraz innych, związanych z przemysłem samochodowym.

Uruchomienie tych wszystkich przemysłów niewątpliwie wywrze duży wpływ na podniesienie życia gospodarczego kraju.

Kraj bez turystyki

(Oryginalna korespondencja własna WT z Kowna)

Kowno, w marcu 1935 r.

Dla Czytelników „Wiadomości Turystycznych" Litwa jest zapewne najmniej znanym terenem ze wszystkich krajów europejskich. Nic dziwnego! Nienormalny stan stosunków politycznych, istniejący od zarania niepodległości obydwu krajów, uniemożliwiał dotąd nawiązanie bliższego kontaktu, nie mówiąc już o bezpośredniem stykaniu się przedstawicieli obydwu społeczeństw. Trzeba jednak wierzyć, że to odseparowanie się Litwy, pod wpływem przemożnego nurtu życia nie ostanie się już długo, a wtedy nawiązanie wzajemnych stosunków turystycznych stanie się już tylko kwestją sprawności odpowiednich czynników organizacyjnych.

Ciekawem może być też nawet już dzisiaj, co Litwa może przedstawiać pod względem turystycznym i jakie posiada walory atrakcyjne.

Litwa nie posiada ani wspaniałych gór, ani łagodnego klimatu krajów południowo-europejskich, ani też żadnych innych osobliwości lub zabytków historycznych. Klimat oraz struktura gospodarczo-społeczna są prawie takie same, jak w Polsce. Mimo to jednak dla turysty polskiego Litwa może posiadać spore walory.

W pierwszym rzędzie wymienić należy litewskie morze, zresztą na samej Litwie niedostatecznie spopularyzowane, dzięki zupełnemu brakowi jakiejkolwiek propagandy. A jednak, przeszło stukilometrowy pas nadmorski, od ujścia Świętej aż po Nidę, posiada b. korzystne warunki wypoczynkowe, gdyż niemal na całej tej przestrzeni brzeg nadaje się do kąpieli. Piasek jest tu nieskazitelnie czysty, dno morskie zaś równe i bardzo nieznacznie obniżające się. Ponadto wzniesienia nadbrzeżne pokryte są lasami, których balsamiczna woń żywiczna potęguje siłę atrakcyjną wybrzeża. Najwięcej znanemi miejscowościami są tu Połąga i Nida.

Jeziora litewskie posiadają również niemały urok. Znaczniejsze pojezierza są na Litwie następujące: w okolicach Jezioros, Telsz i Żordziej. Wszystkie okolice są bardzo do siebie podobne, a niektóre z nich, jak Jeziorskie, Kubikowskie i Dubinkowskie cieszą się znaczną frekwencją. Szczególnie piękne jest jezioro Dubinkowskie, położone na samem pograniczu polsko-litewskiem, w okolicy zamieszkałej wyłącznie przez ubogą ludność polską.

Wybrzeża rzek sprzyjają również ruchowi turystycznemu. Na czoło wysuwa się tu dolina Niemna i jego dopływów, Wilji, Niewiaży i Dubiny. Interesujące są również wy-



Latarnia morska w Połądze.

brzeża Świętej, Wenty, Minji i innych rzek.

Litwa posiada liczne źródła mineralne o wysokiej wartości leczniczej. Niestety, większość ich nie jest jeszcze należycie urządzona. Na pierwszem miejscu należy postawić tu Birsztany, położone w przepięknej dolinie niemeńskiej. Bogate źródła solne i wapienne rokują tej miejscowości wybitną przyszłość. Koło Pozwola znajdują się źródła siarczane. Takież źródła, zupełnie jeszcze nie eksploatowane, znajdują się koło Stokliczek w pow. Korzelarskim i Janowa.

Jak już zaznaczyłem, kwestja turystycznego wykorzystania walorów Litwy nie była dotąd jeszcze nigdy przedmiotem gruntownych rozważań władz, a i pierwsze litewskie towarzystwo turystyczne, „Litewski Związek Turystyczny", powstało zaledwie w r. 1929 i jakkolwiek nakreśliło sobie szeroki program, jednakowoż do dnia dzisiejszego nie mogło jeszcze przystąpić do zrealizowania go w pełni. Narazie związek położył nacisk na sprawy własnej organizacji i pod tym względem posunął się dość daleko. Posiada on obecnie już 5 oddziałów i 36 kół, rozsianych po większych miastach i miasteczkach Litwy.

Główną przyczyną słabego ruchu turystycznego na Litwie jest brak zrozumienia dobrodziejstw, jakie krajowi przynieść może rozwój turystyki. Wymieniony związek występuje w ostatnich czasach z usilną propagandą w tym duchu, ale posiada do przezwyciężenia szereg niebylejakich trudności, jak np. b. słaby rozwój środków komunikacyjnych, brak najbardziej nawet skromnych hoteli i schronisk, etc.

Nie należy jednak wątpić, że żywiołowy rozwój turystyki w całym świecie odbije się również i na litewskiej turystyce, tem bardziej, że młody związek posiada w swem gronie ludzi naprawdę energicznych i opanowanych gorącą chęcią nadrobienia straconego czasu.

Skoro to się stanie, a pomiędzy Polską a Litwą zapanują normalne stosunki, zyskamy niewątpliwie ciekawy nowy teren turystyki zagranicznej, szczególnie łatwo dostępny i interesujący.

Autochton

Wycinają jedno z ostatnich stanowisk czapli!

Tuż pod Warszawą, w puszczy Kampinoskiej, w nadleśnictwie Kromnów, leśnictwie Krzywa Góra, istnieje ok. 25 ha starych sosen, na których gnieżdżą się czaple, co jak wiadomo, stanowi unikat przyrodniczy. W r. ub. było tam ok. 40 gniazd.

Obecnie Dyrekcja Lasów Państwowych nakazała w y c i ę c i e tych sosen, wskutek czego zniknie najbliższe w okolicy stolicy stanowisko tak rzadkiego już dziś w Polsce ptaka.

Czy naprawdę ten niewielki obszar lasu musi iść pod topór, wbrew elementarnym zasadom ochrony przyrody?

Czy wiedzą o tem pp. Generalny Dyrektor Lasów Państwowych, Loret, prezes Ligi Ochrony Przyrody, prof. Hryniewiecki, a przedewszystkiem Pan Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego?

Dr. MIECZYSŁAW SMOLARSKI, Warszawa.

Polska w przewodniku podróżniczym z 1704 r.

W miarę rozwoju ruchu podróżniczego coraz bardziej odczuwano potrzebę książek, dających niezbędne a praktyczne wskazówki, co i jak należy zwiedzać. Dzieło, o którem chcemy tutaj wspomnieć, było poprzednikiem wielu głośnych później „przewodników" turystycznych. Pojawiło się we Francji pod sam koniec XVII wieku w ośmiu tomach, pod tytułem: „Podróże historyczne po Europie" albo „Rozkosze Francji, Hiszpanji, Włoch, Niemiec, Anglji, Prowincyj Zjednoczonych, Niderlandów hiszpańskich, Polski, Litwy, Danji, Norwegji, Islandji i Moskwy".

Tytuł ten nie wystarczył jeszcze autorowi, panu de F. B., nieznanemu, lecz pełnemu werwy szlachcicowi francuskiemu. Uzupełnił go zatem wyjaśnieniem, iż podróżował po Europie przez lat czterdzieści i wszystkim, którzy podzielają tę „najszlachetniejszą z pasyj", chce udzielić rzeczowych wiadomości.

Kogo zaś nie było stać na prawdziwą podróż bodaj pieszo, jeśli nie konną lub karocą, mógł dzięki jego książce odbyć ją myślą za kilka czy kilkanaście talarów i wymarzyć sobie, iż wędruje od gorącej Italji do lodowatej Islandji.

Co pan de F. B. pisał o Polakach? Otwórzmy jeden z tomów i czytajmy:

„Polska jest wielkiem królestwem i jedynem elekcyjnem w Europie. Kraj ten składa się z wielkich pól i obszernych lasów.

...Polacy są zwykle silni, średniej tuszy. Mają płeć białą i blond, barwy żywej i czerwonej. Białogłowy są urodziwe, a wszyscy dość grzeczni i posłuszni urzędom. Kochają cudzoziemców. Jak inne ludy Północy, lubią dobrze wypić, dużo zjeść. Nadmiar uważają za cnotę, a umiarkowanie, okazywane w kompanji, za złość ukrywaną... Najwyżej cenią i za najdzielniejszych uważają tych, którzy noszą najwięcej blizn na twarzy".

A wesela?... „Niema biedaka ani bogacza, któryby nie gościł przez trzy dni wszystkich krewnych i przyjaciół, nie skąpiąc wina węgierskiego, choćby najdroższego. Damom skromność pić nie pozwala, więc stoi przed niemi po różnych zdrowiach z tuzin ledwo dotkniętych kieliszków, których większość wywraca się wreszcie w nieładzie na stół i na dania. Po ukończeniu uczty leciwi senatorowie lub osoby najbardziej reprezentacyjne zaczynają ze staremi matronami taniec, który narazie wydaje się procesją zakonnic, tak krok ich jest poważny i skromny, lecz później, gdy się rozgrzeją, czynią skoki i susy, jak młode panny"...

Przerzucajmy pożółkłe karty i czytajmy dalej, co o nas przed dwustu laty zgórą pisano:

...Niema narodu, który bardziej, od szlachty zwłaszcza, miłowałby podróże lub znosił łatwiej znużenie zimnem, upałem i głodem. Pełni miłości własnej gardzą tem, co z ich zwyczajami jest niezgodne. By uzyskać u nich dobre przyjęcie i wszystko, czego się pragnie, należy ich chwalić i im pochlebiać.

...Zwraca uwagę, że dzieci płaczą rzadko, czego przyczyną, jak sądzą, jest to, że się ich nie spowija. Nie wierzmy zatem, że to psuje kibić, gdyż widzimy na własne oczy, iż niema w Europie ludu większego, tęższego i lepiej zbudowanego od Polaków.

...Niemal wszyscy, nawet pospólstwo, uczą dzieci łaciny, a większość szlachty włada językami niemieckim, francuskim, włoskim i hiszpańskim. Mowa ich jest bardzo trudna w czytaniu i pisaniu, bo słowa mają przeważnie po 10 albo 12 spółgłosek, a jedną samogłoskę".

* * *

Nie bez zaciekawienia możemy przejrzeć tę książkę, której uwagi trafne lub powierzchowne, a nawet fałszywe, stanowią bądź co bądź odzwierciadlenie poglądów epoki.

Śmiali pionierowie nowych dróg napotykają jednak zwykle na duże trudności, które nie mogły także ominąć autora „Podróży historycznych". Choć może i wiele po świecie jeździł, zwiedzenie całej Europy było snać dlań zadaniem nad siły, więc musiał niekiedy opisywać i to, czego na oczy nie oglądał. Nie przyznawał się do tego, lecz nadrabiał fantazją.

Bardzo też obniża wartość dzieła niesłychana łatwowierność autora, dążność do sensacji oraz skłonność do określeń na efekt obliczonych.

„Dawni Saksonowie" np. — jego zdaniem — „mieli wzrok straszliwy, oczy groźne i usposobienie wpółdzikie. Żyli bardzo brutalnie, lecz wiernie dochowywali słowa". „Poddani margrabiego brandenburskiego nie ustępują innym Niemcom w piciu nadmiernem". „Moskale są przeważnie średniego wzrostu, silni, niebieskoocy, o krótkich udach, brzuchach dużych... Wszyscy noszą włosy przycięte i długą brodę. Książę ich nie goli się nigdy... Są z urodzenia dzicy, okrutni... Z natury nienawidzą Tatarów, Polaków, Szwedów".

Nie wierzmy zatem zbytnio panu de F. B., ani gdy nadto chwali, ani gdy przesadza w miłych słowach. Nie wynika z tego, by wszystko, co pisał, było kłamstwem wierutnem. Owszem, posiadał także dobre i ścisłe wiadomości. Dodawał również mapki orjentacyjne z podziałką oczywiście nie na kilometry, ale, jak w tomie o Polsce, według „20 godzin drogi". Mimo to naszego kraju napewno nigdy nie widział. Dał tego dowód, nie wspominając ani słowem o Warszawie, choć wiedział coś o Krakowie.

Przestarzała była także mapa Polski wraz z Inflantami i Zadnieprzem. Nie rysował jej napewno znakomity geograf. Dość będzie wspomnieć, że między Grodnem a Brześciem odnajdujemy wielką prowincję Polakję, która nigdy nie istniała.

Koniec końców i mniej więcej można było do główniejszych miast trafić, zwłaszcza gdy zasięgnięto języka w podróży. Ale że w owych czasach podróżowano mniej pośpiesznie, więc i na parę mil mniej lub więcej nie tak wielką zwracano uwagę.

Z połową tomu o Polsce łatwo dał sobie radę. Wypełnił ją opowiadaniem historycznem imci Błonowskiego o niezgodnej elekcji przed siedmiu laty. Resztę brał zapewne gdzie mógł i skąd potrafił, gdyż istniały już przecież niezłe opisy Rzeczypospolitej. To i tamto dopowiedzieli mu niezawodnie i sami wałęsający się po świecie Polacy, którzy nieraz brali na fundusz cudzoziemca. Stąd wynikła ta dziwaczna mieszanina prawdy i fałszu, nagan i pochlebstwa.

Opinja już po śmierci Sobieskiego, iż Polska jest wielkiem państwem, była zbyt zasadnicza, by nie odpowiadała przekonaniom, panującym współcześnie zagranicą. Stosunkowo wiele pan de F. B. wiedział o Gdańsku, może dlatego, iż był miastem portowem. Opisywał je jako jedno z najbardziej kwitnących w Europie i skupiające cały handel polski. Nie był też jedynym podróżnikiem, który przestrzegał przed miejscowymi bankierami lub „pieniądzomieńcami", jak ich ongi u nas nazywano.

Z innych miejscowości zajął się szczegółowo nie Warszawą, Krakowem i Wilnem, ale Wieliczką, głośną oddawna. Dostał widocznie skądś jej opis, więc odmalował ją niezwykle barwnie.

Nie wiele wiedząc o miastach, chciał pan de F. B. napisać coś więcej bodaj o prowincjach, przyczem jego entuzjazm lub złośliwość wydobywały się z pod pióra kolejno. Przychylny jego raczej stosunek do Polaków zmienił się już, gdy zajął się Litwinami. Nie oszczędził im bardzo czarnego atramentu. Stosunkowo łagodniej obszedł się z mieszkańcami Rusi. Natomiast o czystości Polaków miał zdanie pochlebne. Podziwiał, że mimo zimny klimat kąpią się w każdym miesiącu i niema znaczniejszego domu, który nie posiadałby własnych łazienek, a są i publiczne w większych miastach. Zapisał też, iż dzieci do lat dwóch kąpie się dwa razy dziennie w zimnej wodzie, dzięki czemu „nie mają nigdy świerzbu na twarzy, a lud, zahartowany od wczesnej młodości, staje się silnym, mocnym, ile możliwe".

Poza tem, choć zarzucał Polakom chciwość i lekkomyślność w oddawaniu pożyczek, oceniał ich zamiłowanie w sztukach pięknych i wiedział, że są między nimi „ludzie prawdziwie uczeni". Słyszał też już o górach w Polsce, gdy niejeden przyjezdny, podróżując przez Wielkopolskę lub z Gdańska do Warszawy, twierdził potem z całą stanowczością, że w kraju są tylko niziny.

Często jednak zawodziły go wiadomości, czerpane z drugiej ręki, zwłaszcza, że lubował się w opowiadaniu nadzwyczajności. Napisał ktoś o panterach w Polsce, zwąc niemi mylnie rysie, więc i on ochoczo błąd ten powtórzył, rad, iż zadziwi czemś myśliwych. Posłyszał o karłach z Litwy, których chętnie trzymano wówczas na pańskich dworach, pouczył więc natychmiast czytelników, iż w kraju tym z powodu wielkiego zimna i zwierzęta są całkiem małe, gdyż nie mogą rosnąć. Jakieś natomiast jezioro Białe posiadało, jego zdaniem, własności atramentu, gdyż kto kąpał się w

JÓZEF LEWON, Wilno.

„Kaziuk" — kiermasz wileński

(oryginalna kor. własna WT)



Serca kaziukowe

Kiermasz w dniu św. Kazimierza ma za sobą długie lata tradycji. Odwiedzają go z reguły wszyscy mieszkańcy miasta. Każdy znajduje tu coś ciekawego, coś co potrafi przykuć wzrok i uwagę.

Nic więc dziwnego, że w ciągu kilku dni na Łukiszkach jest rojno i gwarno.

Przyjrzyjmy się „Kaziukowi" z bliska.

BALONY

Przy „głównem wejściu", jak obłoki różnobarwne, kołyszą się na uwięzi balony. Setki, a może tysiące balonów unosi się nad placem, kołysząc się nad masą ludzką, ciekawie przyglądając się przewalającym się tłumom, wsłuchując się w gwar bijący w górę od świątecznej publiczności.

Jest to oaza, z której na całe miasto rozpływają się balony: małe i duże, okrągłe i kiszkowate, jaskrawe i pastelowe.

„TOWAR SMACZNY I TANI — OBWARZANKI DLA PANA I PANI"

Takim dwuwierszem wita jeden ze sprzedawców każdego przechodnia. Trzeba na wstępie odrazu zaznaczyć, że obwarzanek i piernikowe serce są jakgdyby symbolem kiermaszu. Wilnianin może przejść koło wszystkich cudów straganowych obojętnie, ale nie przejdzie koło wozów z obwarzankami albo stołów z sercami, aby nie zakupić którego z tych charakterystycznych specjałów „Kaziuka".

Każdy zresztą może sobie na ten wydatek pozwolić. Wiązka obwarzanków kosztuje 5 — 10 gr. Serca można kupować płacąc 5 gr. za parę. Oczywiście są i droższe, po kilka złotych, ale to już są serca „zwyrodniałe", cukiernicze.

Obwarzanki są różnych gatunków: słodkie, waniljowe, małe i duże. Największem powodzeniem cieszą się smorgońskie. Trzeba bowiem wiedzieć, że w Smorgoniach niema już słynnej akademji dla niedźwiedzi. Obecnie miasteczko słynie z obwarzanków. Pół miasteczka wypieka je na dzień „Kaziuka".

Serca Kaziukowe zato są rdzennie wileńskie, a ich miejski charakter uwydatniają napisy lukrowe i inne. Jedne są sentymentalne albo smutne, inne demoniczne i uwodzicielskie.

— Dlaczego mnie zdradziłaś? — pyta jedno serce niewprawnym napisem, a drugie, jakby na pocieszenie, szepcze przez różowy lukier:

— Pragnę twoją być!

Więcej jest jednak serc małomównych, lakonicznych. Widzimy na nich we wszystkich odmianach pieszczotliwych imię Kazimierz, albo tylko kwiaty ułożone w fantastyczny ludowy ornament. Przemawiają one do kupujących naiwnością rysunku i prostotą pomysłów.

BECZKI, BALJE, STOLNICE...

Najbardziej fotogenicznym działem są bezsprzecznie wyroby z drzewa: niecki, balje, beczki, stolnice różnych kształtów, w różny sposób zrobione. Przyciągają one zdaleka wzrok swoją białością i świeżością wyglądu. Piętrzą się i pną do góry w najdziwniejszych kształtach. Na stosie cebrów widzimy słup beczek, balje tworzą istne morze. Wszystko można kupić prawie za bezcen. Np. łyżki z drzewa jabłoni, w zależności od rozmiarów, kosztują od 10 do 30 gr.

— Jak długo taką łyżkę się robi? — pytam chłopa.

— A musić co z para godzin będzie dłubania — pada odpowiedź

Parę godzin! A materjał? Czy można myśleć o zarobku? Sprzedają, byle mieć parę groszy na zapałki, nie ceniąc zupełnie swej pracy.

TKANINY PO DWA ZŁOTE

Co innego obserwuje się w bardziej dziś modnym, ze względu na większą użyteczność, dziale tkanin ludowych. Płótna, ręczniki i kilimy mają ustaloną cenę. Wieśniaczki, siedząc na wozach z flegmatycznym wyrazem twarzy, zapytane o cenę, recytują:

— Dwa złote!

Taka jest średnia cena tkaniny ludowej, która barwnie i malowniczo spływa z wozów na ziemię.

RAJ DLA DZIECI

Zabawek przeróżnych jest moc. Oczy dzieci uśmiechają się raz do konika łaciastego ze sterczącym lnianym ogonem, raz do wężów, grzechotek, misternych pająków. Na każdym straganie coś innego. Gliniane koguciki, psiaczki i tygrysy zgodnie stoją obok siebie na stole, czekając na nabywcę, który je ożywi przez dmuchnięcie w otwór pod ogonkiem. Zadowolone i rozbawione dzieci budzą do życia na kiermaszu setki takich zabawek, tworząc istną kakafonję dźwięków.

SPRZEDAWCZYNIE ZDROWIA

Zwartym rzędem siedzą znachorki. Sprzedają przeróżne zioła i udzielają na miejscu przy zakupach fachowych porad. Są pewne leczniczego działania swego towaru. Na tle barwnych ziół i dziwacznych w kształtach korzeni, wyglądają znachorki stylowo. Jakby dla podkreślenia zgodności z bajką o wiedźmach i czarownicach, widnieją gdzieniegdzie suszone węże i żabie łapy.

ŻELAZNY KORZEŃ, KIEPKOSTRÓJ, ETC.

Niemniej dziwaczne są nazwy tych specyfików: żelazny korzeń, dziewięć sił, raztapyrnik, kiepkostój i wiele podobnych. Wymowne są w swojej nazwie. Większość ziół pomaga na wszystko: przywiązuje kochanka, leczy nerki, potęguje siłę. Nic więc dziwnego, że kupują je w znacznych ilościach

Pouczenia, jakie słyszy się wokoło, trącą czarną magją.

— Zaparzyć w pierwszym dniu pełni księżycowej...

— Zażywać przed północą w dnie nieparzyste.

LATAJĄCA STOLNICA I NIEDYSKRETNY POLICJANT

Tłum. W środku rytmicznie podnosi się i opada solidnych kształtów stolnica, poczem słychać jęk i pełne złości wyzwiska.

Biegnie policjant, przepycha się do środka i widzi taki obrazek: na ziemi leży podchmielony mężczyzna a nad nim ze stolnicą w potężnych dłoniach zażywna jejmość.

— To pani biła? — pyta policjant.

— A niechby kto inszy! Pewnie, że ja! — odpowiada rezolutnie zagadnięta.

— Proszę ze mną do komisarjatu!

— Do komisarjtu? Czego? Czyż to mnie nie można uderzyć rodzonego męża? Wstawaj Antuk, pójdziem do chaty! Toż moj szlubny — dorzuca dla wyjaśnienia.

Wziąwszy się pod ręce zgodnie idą do domu, żywo dyskutując nad mieszaniem się policji w prywatne sprawy.

Tłum wybucha śmiechem i rozprasza się.

Na pobojowisku zostaje zdumiony policjant i parę guzików.

NA OBWARZANKI PRZEZ „LORNETKA"

Wbrew tradycji nie było w tym roku na „Kaziuku" „nijakiej mokrości". Odwrotnie, może trochę za sucho, co przy wietrznej pogodzie objawiało się w tumanach kurzu. Panowała naogół pogoda słoneczna. Fotografowano zapamiętale.

Oczywiście, cieszyły się powodzeniem przedewszystkiem fragmenty chrakterystyczne.

Małe „Lajki" i inne „Baby-Boxy" wywoływały wśród chłopów refleksje zgoła nieoczekiwane. Naprzykład pewna wieśniaczka, sprzedająca obwarzanki, na widok przykładanego do oka aparatu, odezwała się pogardliwie:

— Iż ty jego! Na obwarzanki przez l o r n e t k a patrzy!

A propos lornetki. Jeżeli zechcemy patrzeć na kiermasz gołem okiem, krytyka to bezsprzecznie nie dostrzeżemy w nim wielu rzeczy. Może on przedstawić się nam nawet jako blady i nieciekawy.

Lornetka — tradycja potrafi jednak wiele uwypuklić, zabawić i przedstawić wyraźniej. Nią więc należy posługiwać się przy wędrówce po „Kaziuku".

2.500 PRZYJEZDNYCH

Inicjatywa Związku Propagandy Turystyki z dyr. Krzemieniem na czele dała niespodziewanie piękny rezultat. Na kiermasz św. Kazimierza przyjechało 2.500 osób ze wszystkich stron Polski i 1500 Niemców Katowiczanie i Warszawianie, Niemcy z Bytomia i kresowiacy z Mołodeczna zgodnie pod kierownictwem fachowych przewodników zwiedzali Wilno.

1000 OSÓB I 130 WOZÓW

Wszystkim zainponował pochód, pomyślany z dużym artyzmem i rozmachem. Wystarczy przytoczyć tylko kilka cyfr. Udział w pochodzie wzięło przeszło 1000 osób i 130 wozów. Odpowiednie ubiory i dekoracje potęgowały efekt.

Na czele pochodu jechały historyczne postacie króla, rycerzy, bojarów i trębaczy. Za nimi ciągnęły wozy, propagujące regjonalne rzemiosło i przemysł.

Całemu widowisku przyglądały się z zadowoleniem tłumy publiczności przyjezdnej i miejscowej.

SWOI I OBCY SĄ ZACHWYCENI

Sądząc z uwag gości i ich zachowania się, Wilno i Wilnianie ogromnie przypadli im do gustu. Najlepszym dowodem tego jest fakt ofiarowania swemu przewodnikowi przez wycieczkę śląską pięknej papierośnicy z odpowiednią dedykacją.

Niemcy pozostawili sporo pieniędzy, zakupując w antykarjach przedewszystkiem książki i obrazy barokowe. Oczywiście, dużem powodzeniem cieszyły się również przeróżne wyroby regjonalne, które zagranicą uchodzą za egzotykę.

Statystyka prowizoryczna wykazała, że każdy przyjezdny wydawał przeciętnie około 30 złotych dziennie. Nie na utrzymanie, broń Boże, to kosztowało grosze. Wydawali na zakup rzeczy ładnych i wartościowych, które kusiły swym artyzmem i niecodziennością.

---

niem w kwietniu i maju, wychodził niemal całkiem czarny.

Jeżeli Polska, jako kraj względnie odległy, stała się dla jowialnego szlachcica francuskiego wdzięcznym tematem do opowiadania baśni, to więcej jeszcze mógł sobie użyć, opisując dalsze i mniej rodakom znane kraje skandynawskie i królestwo moskiewskie. Czemże były ukraińskie przepiórki, wobec niezwykłej rośliny w Rosji, która wyglądem zupełnie do jagnięcia podobna, karmiła się ziołami, miała smak mięsa baraniego i służyła za doskonałą przynętę dla wilków! A od tego ciekawsze chyba jeszcze było, że Norwegowie na polowanie i łowienie ryb chodzili w towarzystwie grubych, czarnych kotów, z któremi wiedli rozmowy. Lecz nie koty to były, ale djabły domowe, trzymane w kółku rodzinnem!

Cała zresztą daleka Północ była zdaniem pana F. B. krainą magji i czarów. Czemże może bowiem być góra Hekla na Islandji, wyrzucająca płomień, czarny popiół i bryły pumeksu, jak nie piekłem, z którego słychać skargi dusz potępionych? By powiększyć ich męki, djabli wynoszą je od czasu do czasu i chłodzą w lodowatem morzu, a potem znowu je topią w ognistej otchłani. Ale jako czarodzieje słyną szczególnie właściciele owych mądrych kotów Norwegowie. Nie mają widocznie wiele do sprzedaży, więc handlują wiatrem dla żeglarzy. Przybędzie taki jegomość na pokład, przywiąże płótno do masztu, zawiąże na nim kilka supełków, zamruczy kilka zaklęć i oto masz wiatr nader miły, a taki właśnie, jakiego ci potrzeba. Trzeba tylko potem co pewien czas rozplątywać kolejno supełki.

Nic prawdziwszego nie znam od tego opisu! — zaklinał się pan de F. B. Ale i to czemże jeszcze było wobec niezwykłego zwycięstwa, jakie Kanut Wielki odniósł w r. 1012 nad flotą Edmunda II, króla angielskiego? Wiedząc zgóry, że przeciwnikowi nie poradzi, wysłał do walki tylko dwa statki, lecz jeden z nich uzbroił w zwierciadło palące, a drugi w wielką bryłę magnesu. Wynik tego genjalnego pomysłu nie dał na siebie czekać. Zwierciadło zapaliło na okrętach nieprzyjacielskich żagle, magnes powyciągał z nich wszystkie gwoździe, i zwycięstwo odniesiono, jakby chodziło jedynie o zjedzenie smacznego śniadania.

Opowiadania tego nie należy oczywiście brać poważnie, ale można wysłuchać go z zainteresowaniem, gdyż pan de F. B. opisujący kraje, których nie zwiedzał, miał równocześnie wiele humoru i fantazji francuskiego Zagłoby z XVII wieku.

LISTY CZYTELNIKÓW.

Wizy wstrzymują dopływ turystów do Polski

Paszporty izolują nas od świata.

W nr. 3 „Wiadomości Turystycznych" w rubryce „Głosy czytelników" znajduję uwagi o zbyt wysokich opłatach wizowych do Polski, pobieranych od obywateli francuskich. Uwagi te są niezwykle cenne. Pozwalam sobie też uzupełnić je, gdyż autor nie miał może możności rozwinąć tego tematu tak, jak on na to zasługuje.

Polska należy do kategorji tych krajów, które nietylko, że uniemożliwiają swoim obywatelom wyjazdy zagranicę, ale oprócz tego żądają od każdego obcego obywatela nietylko paszportu, ale jeszcze i wizy. Nawet obywatele gdańscy, którzy przecież zagranicą cieszą się opieką konsulatów polskich, muszą mieć wizy wjazdowe do Polski.

Jakże inaczej przedstawia się ta sprawa w innych krajach! Weźmy np. obywatela austrjackiego: paszport kosztuje go 5 (pięć) szylingów (około 4,90 zł.). Paszport jest wielokrotny i ważny na pięć lat. Otrzymuje go w komisarjacie policji swego „bezirku", czy też gminy na podstawie „Heimatschein" i karty meldunkowej. Austrja nie stanowi pod tym względem wyjątku. To samo stosują i inne kraje kontynentu. Pozatem właściciel paszportu nie jest obowiązany do wizowania go.

Dalej jeszcze poszły w tych udogodnieniach Holandja, Belgja, Francja i Szwajcarja, które nie wymagają od obywateli wymienionych krajów nawzajem ani wizy, ani wogóle paszportu; wystarcza dowód osobisty (carte d'identité). Ale wróćmy jeszcze do wizy, która w Polsce wymagana jest od wszystkich obcych obywateli. Opłaty są b. wysokie. Wiza jednorazowa, ważna przeważnie tylko na trzy miesiące, kosztuje zł. 25.—, wielokrotna zł. 40. —. Jeżeli zaś uwzględnimy, że bilet kolejowy z Wiednia do Warszawy kosztuje zł. 55, mamy efektywny koszt podróży 2 × 55 plus wiza 25, czyli razem zł. 135. Skutkiem tego wielka ilość obywateli obcych omija corocznie w czasie urlopów Polskę. Wolą oni pojechać np. do Włoch, gdzie cena przejazdu kosztuje ich to samo, a żadnych opłat wizowych nie pobiera się od nich.

Co do Jugosławji, to żąda ona wprawdzie wizowania paszportów, ale od obywateli obcych, przyjeżdżających do tamtejszych uzdrowisk, pobiera się tylko zł. 2,50.

Zbadajmy teraz kwestję wyjazdu obywateli polskich.

Jeżeli komu z nich już było danem, po przecierpieniu mąk dantejskich, dostać ostatecznie paszport, musi on biegać po konsulatach i starać się o wizy. Każda kosztuje tyle, ile Polska pobiera od obywatela danego zagranicznego kraju, a więc też przeciętnie po zł. 25.

Podkreślę jeszcze jedną okoliczność, na którą zdaje się nikt nie zważa. Jest to ubliżające traktowanie obywateli Polski, których często uważa się za komunistów, zbiegów z Rosji, czy też wywrotowców, którzy najpierw muszą przejść przez filtr kwestjonarjuszy konsulatów z licznemi pytaniami: poco, naco, dlaczego i t. d.? W ten sposób Polacy często postawieni są narówni z posiadaczami paszportów nansenowskich!

Czas najwyższy zerwać z temi metodami! Jeżeli jedno ministerstwo popiera turystykę, należy ją popierać na całej linji i pod każdym względem, nie wystawiając swoich obywateli na upokorzenie. Nie zapominajmy, że przy każdej pobranej wizie wpływa do kasy rządowej zł. 25 czy nawet zł. 40, ale napewno ubywa równocześnie po kilkaset złotych od tych licznych zagranicznych turystów, którzy chętnie przyjechaliby do Polski, ale których odstraszają opłaty i formalności praktykowane w polskich konsulatach.

F. B.

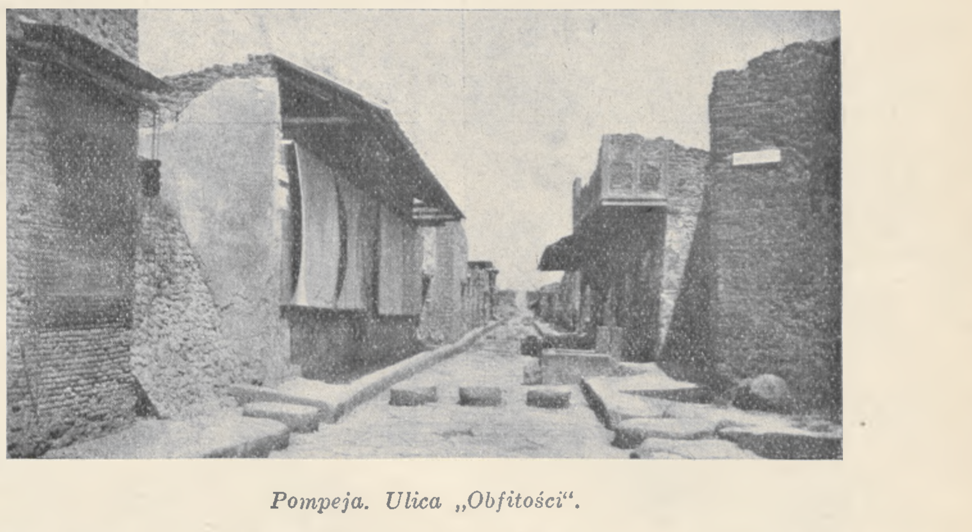
(Nazwisko i adres znane są Redakcji).

BOHDAN TEOFIL LEPECKI.

Reportaż z podróży po Włoszech

Miasto z przed 2000 lat

Dość już mam Neapolu z jego wąskiemi uliczkami, zapachem smażonej oliwy i natręctwem lazzaronów. Jadę kolejką elektryczną do pobliskiej Pompeji, aby w ciągu godziny cofnąć się do dnia 24 sierpnia 79 r. Po N. Ch., kiedy popiół Wezuwjusza pokrył całunem śmierci dwudziestotysięczne miasto rzymskie.



Pompeja. Ulica „Obfitości".

Pociąg przebiega wśród żyznych, zielonych pól, nawożonych niejednokrotnie popiołem niespokojnego wulkanu. Każdy kawałek ziemi doskonale jest wyzyskany. Wszędzie pełno sadów pomarańczowych, uginających się od żółtych owoców. Gdzieniegdzie przebłyskuje przez zieleń spokojna tafla wód pobliskiej zatoki Neapolitańskiej.

Pasażerowie, przeważnie cudzoziemcy, mówią wszystkiemi językami świata i wertują Baedecker'y. Nie oglądają mijanych krajobrazów; celem ich wędrówki jest „podróż w czasie".

Godzina minęła.

— Pompeja, Pompeja!... wołają na wszystkie tony konduktorzy.

Jesteśmy już w Pompeji, ale nie tej starej, zasypanej żużlem i popiołami przed 2000 lat, lecz w nowej — nędznej mieścinie — przypierającej skromnie do słynnej imienniczki, wydartej dawno minionej przeszłości. Zamiast dżentelmenów w togach, obskakuje nas sporo obdartusów, żerujących na wilekości przodków. Czereda ta — to agenci hoteli, gospód i pensjonatów, przewodnicy, sprzedawcy osobliwości pompejańskich i zwyczajni naciągacze, węszący gdzieby zarobić lira.

Pragnę jaknajprędzej przebiec teraźniejszość i znaleść się w starożytnej Pompeji. Pośpiesznie łykam kawę w przydrożnej trattorji. Kelner przez chwilę taksuje mnie wzrokiem, poczem podchodzi z pliką reprodukcyj i rozkłada je przedemną.

— Niech pan kupi. To bardzo interesujące obrazki. Zobaczy pan, jak się zabawiali Rzymianie.

Oglądam „obrazki". Niezłe reprodukcje malowideł ściennych z lupanaru pompejańskiego i sypialni domu Vettius'a. Aretino krzyknąłby z zachwytu na ich widok.

— Dziękuję! Za chwilę obejrzę oryginały.

Za cenę 5 lirów pozwalają mi wejść do starego grodu. Przez mroczną bramę wchodzę na uliczkę, wiodącą na Forum i wpadam w zdumienie.

Ulice pompejańskie naprawdę mogą zaimponować. Brukowano je wielkiemi, płaskiemi płytami. Nieszczelność między blokami kamiennemi napełniano drobnemi kamykami. Gdzieniegdzie spajano głazy metalowemi klamrami. Po obu ich stronach biegną wąskie ale wygodne chodniki, wzniesione nieco nad poziom jezdni. Podróżny, wędrujący przez Pompeję na osiołku, znajdował się na jednakowym poziomie z ludźmi spacerującymi po trotuarach. Aby ułatwić mieszkańcom przedostawanie się przez jezdnię w okresie deszczów, kiedy ulice zalane były wodą, zrobiono przejścia dla pieszych.

W pewnych miejscach znajdują się na ulicach kamienne zbiorniki, do których wpadała woda przez otwory, w paszczach przeróżnych zwierząt, wykutych z kamienia i pochylonych nad zbiornikiem. Zatrzymałem się koło jednego z takich baseników.

— Skąd dostarczano wody do Pompeji? — zapytuję jednego z kręcących się w pobliżu stróży.

Custode (strażnik, strzegący miasta) kopnął nogą rurę ołowianą, wystającą nieco z chodnika i rzekł:

— Wodę sprowadzano do Pompeji z pobliskich gór. Napływała ona do wielkich rezerwuarów wodnych, położonych w wyższej części miasta, skąd rozprowadzano ją temi oto rurami do zbiorników ulicznych i niektórych domów. Ścieki i nieczystości spływały do kanałów, znajdujących się pod jezdniami.

Wodociągi pompejańskie — dodaje custode — były tak dobrze urządzone, że dzisiaj, po upływie 2000 lat, wystarczyły niewielkie poprawki, aby częściowo uruchomić je i dostarczyć wody do niektórych fontann.

Idę dalej i rozglądam się na wszystkie strony. Widzę jakieś obszerne budowle, częściowo zrekonstruowane. Spoglądam na plan miasta. To słynne łaźnie pompejańskie.

Kąpiel była prawdziwą namiętnością Rzymian. Czwartą część swego życia spędzali w łaźni. Była ona dla nich rodzajem klubu, gdzie mogli się dowoli rozplotkować, usłyszeć utwór, deklamowany przez miejscowego literata, a przedewszystkiem — nagimnastykować sie dosyta.

Łaźnia pompejańska (mam na myśli łaźnię znajdującą się w pobliżu Forum) imponuje rozmiarami. Składa się z trzech części: basenu z zimna wodą, suszarni i właściwej łaźni parowej, w pośrodku której znajduje się wanna marmurowa wielkich rozmiarów. Kiedyż nasze dwudziestotysięczne Zakopane doczeka się takiej łaźni, jaka przed kilku tysiacami lat miała dorównująca mu wielkością, Pompeja?

Dziele się swojemi refleksjami z przypadkowo spotkanym rodakiem. Łyknał już dużo stronic Baedecker'a i imponuje mi swoją erudycją.

— Niech pan pomyśli tylko — zawołał rodak — miasto o 20.000 mieszkańców (coś w rodzaju naszego Zakopanego lub Zamościa) posiadało amfiteatr na 20.000 widzów, teatr na 5.000, teatrzyk na 1.500, liczne i świetnie urządzone łaźnie, wodociągi, kanalizację i nieźle zabrukowane ulice. Toż oni w 79 r. naszej ery żyli lepiej niż mieszkańcy dzisiejszych mieścin w 1935 r.!

A z jakim smakiem urządzali wnętrza swoich domów! Wszędzie malowidła i mozajki, ilustrujące sceny z mitologji grecko-rzymskiej lub życia samych gospodarzy. Pełno posągów, przedstawiających ludzi silnych, zdrowych, żyjących pełnią ducha i ciała. Przeciętny mieszczanin dzisiejszy, żyjący w dziurze prowincjonalnej, nie ozdabia domu swego posągami. Różowe tapety, trochę oleodruków, czasem obrazek jakiegoś lokalnego genjusza, w zupełności zaspakajają jego potrzeby estetyczne.

Mieszkaniec Pompeji był innym człowiekiem. Chorobliwie nie znosił tandety i pożądał piękna na codzień.

A przyjemnie żyło się tym rzymskim mieszczuchom z przed 2.000 lat — dodał mój interlokutor. Po ulicach pompejańskich nie jeździły auta ani wielkie wozy. Produkty przewożono na mułach i osłach lub na dwukołowych wózeczkach. Obywatele w togach mogli spokojnie gwarzyć na środku ulicy lub na Forum bez obawy, że stratuje ich pijany szofer czy woźnica. Wolny człowiek (niewolnikom było grubo gorzej) pracował niewiele, chodził do cyrku, teatru i łaźni, słuchał plotek i sam plotkował, rozkoszował się powietrzem, zawsze świeżem i ciepłem, spoglądał w błękitną dal zatoki Neapolitańskiej, na zielone zbocza Wezuwjusza i myślał, że warto żyć...

Rodak zamilkł i pokiwał melancholijnie głową, jakby żałował, dawnych, dobrych czasów.

Poszliśmy obejrzeć stojący na szczycie pagórka „teatr wielki", ten na 5.000 widzów. Miejsca dla pospólstwa oddzielone są przegrodą od ław przeznaczonych dla wielkich tego świata. Wszystkie ławki z marmuru paryjskiego. Widownia znajduje się pod gołem niebem. Ściany teatru drążą liczne kurytarze. Od jednego z nich odchodzi mały kręty kurytarzyk i prowadzi do zacisznego gabineciku. Przy wejściu widniał tu kiedyś napis, opiewający, że *przekleństwo dwunastu bogów spadnie na nikczemnika, który ośmieliłby się zanieczyścić to miejsce.* Na Pompejańczyków może te przekleństwa działały, na Włochów nie.

Koło teatru znajdowały się koszary gladjatorów, zabijających się dla przyjemności widzów. Po odkopaniu koszar znaleziono szkielety 64 gladjatorów, którzy zginęli w czasie zagłady Pompeji. Biedacy nie zdążyli uciec. Może zresztą nie otworzono im wrót, bojąc się, aby ta, zaprawiona do śmiertelnych zapasów drużyna, znalazłszy się na wolności, nie wzięła krwawego odwetu na swoich panach i ciemięzcach.

Obok teatru znajdował się również mały zwierzyniec, w którym trzymano lwy, mające walczyć z gladjatorami. Znaleziono tam osiem lwich szkieletów. Krwawe były zabawy dawnych Rzymian.

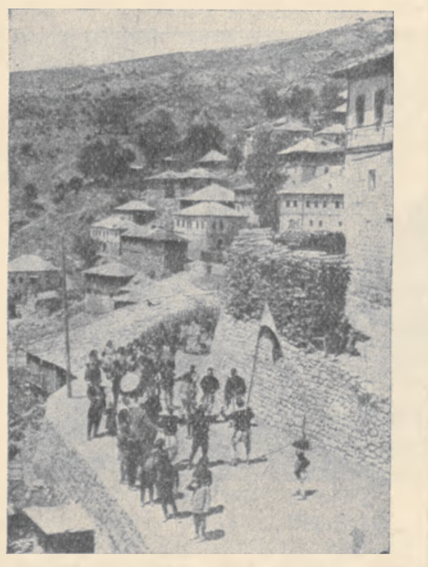
Z teatru udałem się na ulicę Obfitości i wpadłem odrazu w wir antycznej walki wyborczej. W I-m wieku po Chrystusie krzykliwa demokracja skończyła się tylko w Rzymie, a i tam czyniono ciągłe próby jej wskrzeszenia. Na prowincji wybory do samorządów ciągle jeszcze absorbowały ludzi interesujących się sprawami publicznemi, zwłaszcza, że kompetencje komun miejskich były wówczas bez porównania większe niż w dobie dzisiejszej.

(C. d. n.).

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

PIOTR MAZUREK, Warszawa.

Wśród cudów podziemnego świata Bośni



Bośniacki orszak weselny

Wapienna struktura gór bośniackich sprzyja w wysokim stopniu tworzeniu się pieczar podziemnych. Naga skała, niepokryta żadną roślinnością, wchłania chciwie dość znaczne opady atmosferyczne, które idą wgłąb, wymywając po drodze i rozpuszczając mniej twarde partje wapienia.

W ten sposób tworzą się pod ziemią, nieraz na znacznych głębokościach, wielkie, puste komory. Woda przecieka z zewnątrz przez strop takiej komory, osadza rozpuszczone w sobie składniki i tworzy słupy krystaliczne wapnia, znane pod nazwą stalaktytów i stalagmitów.

Z czasem sklepienie takiej komory bywa coraz bardziej rozpuszczane przez przeciekającą wodę i pod własnym ciężarem może się zapaść, zasypując pieczarę. Na powierzchni ziemi tworzy się wówczas olbrzymi lej, w kształcie odwróconego, ściętego stożka. Dno takiego leja zasypane jest zwykle wielkiemi blokami skalnemi.

Przejeżdżając przez Bośnię, nawet z okien wagonu można zauważyć takie leje, powstałe z zapadniętych grot podziemnych. Najczęściej zapadliny takie spotykamy na tarasowatych zboczach gór. Musiały one powstać już bardzo dawno, gdyż ściany lejów są wygładzone, czasem nawet pokryte skąpą trawą.

W pierwotnej swojej formie, późniejszy lej przedstawia wielki dół, o zboczach nejeżonych blokami i złomami wapienia, zasypanych rumowiskiem. I takie „młode" jeszcze leje zapadowe spotkać można w bośniackim krasie, albowiem proces wymywania skały przez wodę i tworzenie się pieczar oraz zapadania ich trwa nieustannie i w chwili obecnej.

Jedną z takich pieczar, nieznanych dotąd oficjalnie geologji, a przynajmniej prawie zupełnie niezbadanych, postanowiliśmy zwiedzić. Było nas 4 Polaków, inżynierów na praktyce w małej osadzie przemysłowej, w północno - zachodniej Bośni: Zbyszek — batiar lwowski, flegmatyczny do obrzydliwości Marjan z Warszawy, awanturniczy Czesio, no i ja. Jako przewodnicy służyć mieli akademicy jugosłowiańscy, bawiący w owym czasie w miasteczku, dwaj Serbowie — Konstantin Hić i Kosta Tabaković, oraz Seido Kresa, bośniak — mahometanin, zwany przez wszystkich pospolicie Turkiem. Wszyscy trzej odznaczali się niesłychaną popędliwością i gwałtownością, wszczynając spory i kłótnie z najbłahszego powodu i klnąc w najstraszliwszy sposób, by po chwili być znowu w najlepszej komitywie i najserdeczniejszej przyjaźni.

Tak tedy pewnego poranku sierpniowego, po nocy spędzonej na uganianiu się za pluskwami, które tu grasują nagminnie w nieprawdopodobnej wprost ilości, znaleźliśmy się wszyscy o godz. 4-tej na uśpionej jeszcze uliczce miasteczka.

Na śniadanie nie było wprawdzie czasu, jednak „Turek" orzekł, że należy wypić coś ciepłego, obudził więc swego współwyznawcę, właściciela maleńkiej kawiarenki, i po 10 minutach piliśmy już wspaniałą kawę po turecku.

Następnie, obładowani plecakami, jak wielbłądy, wyszliśmy poza osadę, na skalisty gościniec, biegnący po zboczu grzbietu górskiego, który mieliśmy przekroczyć.

Zawiłemi, fantastycznemi serpentynami, nad przepaściami i urwiskami, pniemy się coraz wyżej. Po drodze spotykamy chłopów bośniackich, ciągnących na targ do miasteczka. W białych, parcianych spodniach i owczym lub kozim kożuchu na zgrzebnej koszuli, mimo dokuczliwego upału, stąpają cicho w swych skórzanych chodakach, obok małych koników górskich, objuczonych po obu stronach grzbietu workami i koszami, zdejmujący pokornie czapy z kudłatych, czarnych głów i witających nas tutejszem pozdrowieniem:

— Pomoži Bog!

— Daj Bog dobro!

Wreszcie po 3 godzinach uciążliwego marszu, osiągnęliśmy szczyt. Roznegliżowani do ostateczności z powodu straszliwego upału, zasiedliśmy do śniadania w cieniu samotnej jodły. Przed nami szarzeją w oddali kontury przeciwległego zbocza doliny. Pokryte białym, litym kamieniem, oraz ciemniejszemi blokami skalnemi, upstrzone zrzadka kępkami karłowatych drzew, martwe te przestrzenie wywierają wrażenie jakiejś niesamowitej doliny śmierci. Nie słychać żadnego głosu, nie widać żadnego życia, ani ptaka, ani owada.

Jesteśmy całkowicie pochłonięci śniadaniem. Jaja na twardo i pomidory, zakrapiane tutejszą słabą śliwowicą, nikną w mgnieniu oka. Trzeba się śpieszyć. Wtem daleko, na horyzoncie, tam gdzie grzbiet górski łączy się z niebem, mignęła błyskawica, potem druga. Nasi koledzy jugosłowiańscy, rozpoczynają natychmiast gorący spór na temat, czy będzie burza. Ognisty Turek, jako ostatni argument (nikt nie wiedział — za czy przeciw), cisnął w pasji o ziemię pustą butelkę, klnąc straszliwie i wzywając „wszystkich świętych tureckich i nietureckich".

Dla wszelkiej pewności, by uniknąć deszczu, ruszamy szybko dalej. Droga prowadzi teraz zlekka wdół. Groźna chmura znikła za wierzchołkami gór, to też humory powróciły nam natychmiast. Padają dowcipy i żarciki, których celem jest zwykle nieszczęsny „Marjan". Rozmawiamy po rosyjsku, gdyż nasi przewodnicy, byli przez jakiś czas w rosyjskiej szkole kadetów pod Beogradem, i stąd znają dobrze ten język.

Przemykamy się żwawo wśród wielkich bloków wapienia. Gdzieniegdzie widać na pochyłości wzgórz wspomniane już poprzednio wielkie leje zapadowe. Na dnie jednego z takich lejów, przez który prowadziła ścieżka, spotkaliśmy żmiję, którą z trudem udało nam się uratować od kamieni Serbów.

Wreszcie zdaleka zobaczyliśmy chaty, rozrzucone na dnie rozległej doliny. Była to wieś Resanovac, obok niej zaś, na przeciwległem zboczu, znajdował się cel naszej wędrówki — pieczara resanovacka.

Kamienistą drogą przechodzimy przez „wieś", składającą się z kilkunastu kurnych chałup. Nasz ekwipunek — plecaki, latarnie karbidowe, liny etc. wzbudza sensację. To też już przy końcu wsi towarzyszy nam już kilkunastu chłopców, chcących wejść z nami do groty.

Wspinamy się na tarasowate zbocze, raz po raz mijając olbrzymie, zapadnięte leje. Jesteśmy na terenie typowym dla pieczar podziemnych.

Wreszcie — cel podróży: ogromny lej, zarośnięty krzakami głogu, klonami i jaworami. Wąską, stromą ścieżyną spuszczamy się kilkadziesiąt metrów na dno leja, gdzie widniał wielki otwór, ukośnie idący wdół. Tu następuje istateczne przygotowanie: rozwijamy liny, nalewamy z butelek wody do latarni acetylenowych. Grupa dzieci towarzyszy nam ciągle, zdradzając niedwuznaczny zamiar wejścia z nami do podziemi. Odpędzamy je „słowem i czynem" — nic nie pomaga. Wreszcie Turek wybrał 5 chłopców, najmłodszych odsunął ich na bok, do reszty zaś przemówił w tak swojski sposób, że natychmiast opuścili nas, z pewnej dopiero odległości odpowiadając nam, w tym samym stylu, niegorzej zresztą, niż to uczynił Turek.

Na wyrzuty nasze, że dzieci, które mają z nami iść do pieczar, będą zbędnym dla nas balastem, że grozi im niebezpieczeństwo i t. d., Serbowie uśmiechali się tajemniczo, twierdząc, iż chłopcy będą nam w grotach potrzebni.

Zapaliwszy latarnie karbidowe, ruszamy gęsiego do olbrzymiej komory; owionął nas chłód i wilgoć. Podnosimy latarnie w górę. Ze stropu zwieszają się wielkie bloki skalne, czyniące wrażenie, jakgdyby lada chwila miały runąć i zasypać komorę. Z występów i załamków sklepienia i ścian spadają małe strumyki wody — to nasz deszcz już zdążył przeniknąć szczelinami przez kilkudziesięciometrową warstwę skał.

Posuwamy się szybko między wielkiemi blokami, odpadłemi od stropu. Komora wejściowa liczy kilkadziesiąt metrów długości. Przy końcu — pierwsza przeszkoda — małe jeziorko, które przebywamy po wystających z wody kamieniach, docierając w ten sposób do niewielkiego otworu w prostopadłej ścianie. Na czworakach wsuwamy się w długi kurytarz skalny, biegnący stromo wdół. Po kilkunastu minutach pełzania po mokrej, cieknącej glinie, wydostajemy się do następnej komory. We mdłem świetle latarń karbidowych, czernieją zarysy potwornej wielkości bloków, porozrzucanych na dnie jaskini. Stropu, ani ścian nie widać.

Idziemy dalej, znacząc drogę kredą na kamieniach. Umazani gliną, z latarniami w rękach, otoczeni gromadą chłopców w małych, bośniackich czapeczkach z czerwonym wierzchem, wyglądamy jak średniowieczni poszukiwacze skarbów, poprzedzani przez krasnoludków. Z chłopcami zresztą nie mamy kłopotu: wspinają się doskonale, po usypiskach podziemnych i gruzach idą, mimo bosych nóg, jak po podłodze. Boją się tylko ciemności, to też skwapliwie trzymają się w pobliżu latarń.

Przeszedłszy jeszcze kilka komór i kurytarzy, prowadzących ciągle w dół, wchodzimy do wąskiego, pionowo do góry biegnącego kurytarza. Niema rady, trzeba się piąć do góry. Zostawiamy więc plecaki na dnie tej studni i ruszamy. Zaczyna się typowa spinaczka kominem skalnym, z tą tylko różnicą, iż ściany tego komina pokryte są ciekłą gliną, którą wkrótce umazani jesteśmy bez reszty. Wspinanie utrudniają bardzo ciemności, słabo rozpraszane przez nasze karbidowe lampy. Z latarniami zresztą kłopot, gdyż zajmują jedną rękę, do użytku pozostaje nam więc tylko jedna.

Ileż wymyślań usłyszał ów nieszczęsnyny kurytarz, w języku polskim, serbskim, węgierskim, nawet tureckim! Zato, gdy wreszcie znaleźliśmy się u szczytu komina, wchodząc do olbrzymiej, przestronnej komory, oczom naszym ukazał się przepiękny widok, jak z bajki z tysiąca i jednej nocy.

Przed nami las kolumn, sięgających od wyniosłego stropu, aż do podstawy pieczary. Przewężone zlekka w środku, jakgdyby spojone cienkiemi końcami dwa wrzeciona, przeświecają różowem światłem przez krystaliczny wapień. Cała gama barw, od śnieżno białej, poprzez perłową, różową, kremową, aż do ciemno brunatnej, mieni się w świetle lamp.

Ktoś puszcza ku górze strumień światła z silnej latarki elektrycznej: nowe odkrycie. Cały strop usiany jest drobnemi, kilkunastu centymetrowemi soplami. Takie same sople wapienne pokrywają każdy występ skalny, każdy załamek.

Co za niesłychane bogactwo form, kształtów, barw! Ileż wieków, ile tysiącleci trwała budowa kolumny grubości ciała ludzkiego, prawie zupełnie przezroczytej. Czy czas ten liczyć trzeba na miljony, czy może na miljardy lat?!

Na refleksje niema jednak czasu. Nasi koledzy - Serbowie śpieszą się, idziemy więc dalej. Od komory do komory, przejściami nieraz tak wąskiemi, iż z trudem tylko na brzuchu przyczołgać się przez nie można, wędrujemy godzinę, może dwie, po tych cudach podziemnych. Małe jeziorka z czystą jak kryształ wodą, fantastyczne formy i barwy krystalicznych ścian i stropów, pochłaniają nas całkowicie.

Znajdowaliśmy się właśnie w olbrzymiej sali, przystrojonej przepięknemi kolumnami, gdy ktoś rzucił okiem na zegarek. Godzina czwarta! Już cztery godziny jesteśmy w podziemiach! Czas wracać. Żal nam niewidzianych jeszcze cudów, nieznanych sal i kurytarzy, ciągnących się, kto wie, może jeszcze dziesiątki kilometrów. Ileż tu można odkryć bocznych odgałęzień, nadzwyczajnych widoków?

Lecz trzeba wracać. Tu dopiero zaczyna się tragedja. Prąc z entuzjazmem naprzód, nie zwracaliśmy uwagi na drogę. Teraz nie możemy nawet rozpocząć odwrotu z wielkiej komory, w której jesteśmy. Zdaje nam się, że tędy właśnie weszliśmy, pniemy się więc uciążliwie w górę po oślizgłym, krystalicznym wapieniu, by stwierdzić, iż przed nami niema wyjścia, lub też jest wejście do nieznanych nam jeszcze odgałęzień.

Po godzinnem błądzeniu po pieczarze, siadamy zniechęceni. Co robić? Ktoś zwrócił uwagę, że nasze lampy karbidowe obliczone były na 5-ciogodzinne palenie, powinny więc zaraz zgasnąć. Perspektywa pozostania bez światła na kilkaset metrów pod ziemią i kilka kilometrów od wyjścia nie uśmiechała nam się tem bardziej, iż powrót bez światła jest absolutnie wykluczony. Gasimy więc natychmiast lampy, pozostawiając tylko jedną.

Zapada ponure milczenie. Słychać tylko szmer kropel wody, które od czasu do czasu spadają z wyniosłego sklepienia. Zbiliśmy się w ciasną gromadkę, naokoło jedynej, palącej się lampy. Wokół głuche, nieprzeniknione ciemności. Chłopcy bośniaccy, którzy do niedawna jak kozice skakali po skałach, otoczyli nas kołem, patrząc nam w skupieniu w oczy.

Któryś z nas zwrócił się zwyrzutami do Serbów, wskazując na chłopców:

— Jeszcze i oni! Po jakiego licha było brać szczeniaków do tej dziury?

— Prawda — krzyknął Turek — zapomniałem o nich! Przecież ja ich naumyślnie wziąłem z sobą, przewidując ewentualność, że możemy zbłądzić. Gdybyśmy tu byli sami, moglibyśmy zgnić w tych lochach, bo tutaj zagląda ktoś raz na 10 lat. Ale gdy szczeniaki nie wrócą do wieczora, rodzice się zaniepokoją i zaczną nas szukać. Wcześniej, czy później, muszą nas znaleść! Dobra nasza! Niema się czego marwić, ja się kładę spać!

To mówiąc, poczciwy Seido chciał się wyciągnąć wygodnie na wielkim bloku, na którym siedział. Zrobił to jednak tak niezręcznie, że ześlizgnął się z kamienia, a później siłą rozpędu zjechał kilkanaście metrów po pochyłości, mażąc się przytem straszliwie w czerwonej, tłustej glinie.

Widok był tak komiczny, gdy biedny Turek lazł do nas z powrotem, że wybuchnęliśmy śmiechem, któremu towarzyszyły niezbyt przychylne dla nas okrzyki Seida.

Ponury nastrój został przełamany. Niema się czego martwić, kiedy nas muszą znaleść. Najwyżej przesiedzimy w ciemnościach, o głodzie i chłodzie, kilkanaście lub kielkadziesiąt godzin!

Jednak taka perspektywa nikomu się nie uśmiecha, tem bardziej, że głód zaczyna nam dokuczać nie nia żarty. Postanawiamy więc jeszcze raz spróbować i poszukać wyjścia. Tym razem na rekonesans wychodzą tylko dwaj Serbowie — Hić i Tabaković, którzy już dwukrotnie byli w pieczarach, aczkolwiek nie tak głęboko jak my obecnie. Zaopatrzeni w latarnie, znikają nam wkrótce z oczu w któremś z odgałęzień komory. Parokrotnie jeszcze widzieliśmy gdzieś, w oddali — komora ma najmniej 100 — 120 metrów średnicy — mdłe światełka lamp naszych towarzyszy, poczem zapadły nieprzeniknione ciemności. Siedzimy nieruchomo w gromadce, zamilkły rozmowy. Czas wlecze się niesłychanie wolno, nie mając żadnego miernika w ruchu, głosie lub świetle.

Wreszcie, po wieki trwającej półgodzinie, usłyszeliśmy nagle zgrzyt podkutych butów tuż za naszemi plecami oraz radosne głosy Kosti i Konstantina:

— Jest droga! Ja znalazłem!

— Nie ty, tylko ja!

I dwaj towarzysze zaczynają z południowym temperamentem dowodzić sobie nawzajem pierwszeństwa w znalezieniu wyjścia.

Bojąc się, by w zapale kłótni nie zapomnieli o zbawczem odkryciu, przerywamy bezceremonjalnie spór i wyruszamy za naszymi przewodnikami. Niestety, przeczucia nasze nie omyliły nas. Już w następnej komorze, do której przedostaliśmy się jakoś szczęśliwie, „przewodnicy" wpakowali nas w taką wąską szczelinę, iż mimo, iż zorjentowaliśmy się natychmiast, iż tędy nigdy nie przechodziliśmy, cofnąć się nie było można. Trzeba było brnąć dalej.

Czołgamy się więc wąską szparą, tak niską, iż czołgając się na brzuchu, czujemy na plecach ostre kamienie sklepienia. Wydostajemy się w ten sposób do nowej, nieznanej nam komory. Przy blasku karbidówek spostrzegamy niesłychaną ilość przepięknych stalaktytów, o niespotykanem dotąd bogactwie kształtów i barw. Nikogo to jednak nie zachwyca. Rozpoczynamy odwrót przeklętą szparą, poczem po stromej, kilkunastometrowej ścianie spuszczamy się na dno poprzedniej komory.

Nie mając nic do stracenia, idziemy przed siebie dalej, w nadziei, że jakiś szczęśliwy traf naprowadzi nas na właściwą drogę. Po długiem błądzeniu znajdujemy się z powrotem... w miejscu wyjścia, u owej ściany, po której zjeżdżaliśmy niadawno.

Zniechęcenie nas ogarnęło. Zaczęły się jak zwykle w takich wypadkach, sarkania, poco było chodzić do pieczar, gdy się nie zna drogi, dlaczego nie były robione znaki i t. p. I w owej właściwie chwili stał się „cud pod ziemią". Chłopcy bośniaccy, nieszczęśni „zakładnicy", dreptali cicho obok nas, obładowani odłamkami stalaktytów, próbkami gliny i t. p., któreśmy im dawali do niesienia. Tu nawiasem muszę zaznaczyć, że bynajmniej nie niszczyliśmy „cudów natury", nie odbijaliśmy żywych sopli. Na odpadłych od sklepienia blokach znajdowało się mnóstwo przepięknych okazów, obok zaś, na ziemi, było ich zwykle całe cmentarzysko. Te więc tylko odłamane sople, rury, kule i t. p. zabieraliśmy po drodze.

Tak więc tedy krasnoludki bośniackie w czerwonych czapeczkach dźwigają zrabowane skarby, trzymając się tuż u naszych nóg, przeszkadzając często i prosząc na migi, by im pomóc w szczególnie trudnych miejscach. I oto teraz, gdy po obejściu całej komory znaleźliśmy się na starem miejscu, obok niewielkiego jeziorka, jeden z chłopców pochylił się nad wodą i zauważył... odcisk własnej stopy na glinie wyścielającej dno.

Zwycięstwo! teraz wiemy, gdzie jesteśmy! Tu przed kilkoma godzinami, podczas marszu naprzód, nabieraliśmy wody do lamp. Tuż nad jeziorkiem sterczy prostopadła ściana, po której zeszliśmy na dół. Widać nawet na niej gliniaste ślady zjeżdżania „na Eljasza", której to metodzie szczególnie hołdowali Zbyszek i „Marjan".

Wspinamy się więc szybko po gładkiej płycie, dochodzimy do szpary, tym razem właściwej, a leżącej zaledwie o 5 — 6 metrów od poprzedniej, „piekielnej" jak ją nazwaliśmy, i po kilkunastu minutach wychodzimy na znane nam miejsca. Nawet znaki kredą odnajdujemu na blokach. Tym razem naprawdę jesteśmy na dobrej drodze.

Turek wydaje gromkie okrzyki radości, tak żywiołowo głośne, że jesteśmy w obawie, by sklepienie nie runęło nam na głowy. Wtedy na zboczu góry, na powierzchni, utworzyłyby się jeszcze jeden lej...

Na szczęście obeszło się bez katastrofy. Ruszamy szybko naprzód i po jakimś czasie dochodzimy do „studni", gdzie zostawiliśmy plecaki. Z prawdziwem rozczuleniem zarzucamy mokre worki na plecy i mkniemy naprzód, do wyjścia. Wkrótce ogarnia nas szarzyzna świetlna, by po chwili błysnąć światłem dziennem. Jesteśmy w komorze wejściowej, a po dalszych kilku minutach, na dnia leja. Przed nami zachodzące słońce pogodnego wieczoru. Deszczu ani śladu — skały wapienne suche, jakgdyby rok nie widziały wody.

Ogarnia nas uczucie ulgi. Szybko wydostajemy się z leja na zbocze. Tu dopiero spostrzegamy, jak straszliwie jesteśmy obszarpani i powalani gliną. Prym wiodą pod tym względem „Marjan" i Zbyszek, którzy oprócz pomazania frontalnego, nieuniknionego przy pełzaniu, posiadają również piękną dekorację od tyłu. Oglądamy rozbite kolana, powypalane karbidówkami dziury w ubraniu.

Największą niespodziankę sprawiły nam właśnie owe karbidówki. Oszczędzaliśmy zapas karbidu podczas krytycznych chwil w grotach, sądząc, że lampy mogą się palić tylko 5 godzin. Tutaj dopiero, na powierzchni, po otwarciu zbiorników, okazuje się, że niezużyte paliwo mogłoby nam starczyć śmiało jeszcze na 20 godzin. To poczciwy p. Mieczysław Ciuman, Polak, majster z parowozówki, tak nas szczodrze zaopatrzył na drogę do podziemi.

Tymczasem słońce chyli się już ku zachodowi. Szybko spożywamy resztę zapasów i puszczamy się w drogę powrotną, omijając tym razem wieś. Żałosna była ta „droga powrotna". Wiele czasu upłynęło zanim z maliniaków tutejszych wydostaliśmy się na gościniec. Stłuczenia i zadrapania pieką niemiłosiernie. Glina na twarzy zaschła w twardą skorupę, wody zaś w postaci źródła czy strumyka niema nigdzie w promieniu 30 kilometrów.

Późną dopiero nocą wracamy do swych mieszkań. Krytyczne chwile i dramatyczne przeżycia zacierają się powoli w pamięci, zostaje jedynie zachwyt nad pięknem podziemnego królestwa przyrody, no i oczywiście pozostają widome wspomnienia tego piękna w postaci stalaktytów, obciążających dokuczliwie nasze plecaki podczas drogi.

Kronika krajowa

WSZYSCY DO WARSZAWY NA 19 MARCA!

Z okazji obchodu Imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego Komitet Propagandy Czynu Polskiego — w porozumieniu z Polskiem Biurem Podróży „Orbis" — organizuje w dniach od 18 do 20 marca wielki zjazd do Warszawy, celem złożenia hołdu i czci Wodzowi Narodu, Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu.

Karty uczestnictwa w cenie 3 złotych, uprawniają do otrzymania indywidualnej zniżki kolejowej 70%, według starej taryfy ze wszystkich stacyj P. K. P. do Warszawy i z powrotem klasą II i III pociągami osobowemi bez względu na odległość, oraz pociągami pośpiesznemi przy odległości większej, niż 200 km.

Na wszystkich dworcach warszawskich będą czynne całą dobę biura informacyjne, które będą kierować uczestników zjazdu na przygotowane kwatery.

Karty uczestnictwa uprawniają do bezpłatnego zwiedzania Łazienek i muzeów w Warszawie, oraz do korzystania ze zniżek na przejazd tramwajami, do teatrów i kin.

Karty uczestnictwa i zniżki kolejowe sprzedawane będą przez wszystkie placówki „Orbisu", które udzielają wszelkich informacyj i wskazówek.

ZJAZD OPIEKUNÓW KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH MŁODZIEŻY.

W dniu 17 b. m. odbędzie się w Warszawie zjazd opiekunów kół krajoznawczych młodzieży szkolnej. W zjeździe wezmą udział delegaci z całego kraju. W toku obrad omówione będą aktualne prace kół krajoznawczych młodzieży szkolnej.

CZY JESTEŚCIE ZADOWOLENI Z OBSŁUGI ORBISU?

We wszystkich lokalach placówek Orbisu umieszczono w widocznych miejscach duże oszklone napisy: „Czy jesteście zadowoleni z obsługi Orbisu? Prosimy o napisanie swych uwag. Druki w Informacji lub w kasie".

Tekst druków tych, wydanych w formie listów, brzmi: „Dążąc do usprawnienia obsługi klienteli Dyrekcji Polskiego Biura Podróży Orbis uprzejmie prosi W. P. o podanie poniżej swych uwag i obserwacyj, dotyczących obsługi klienteli przez personel.

W wypadkach zauważenia niedomagań i braków w zakresie naszej obsługi, dyrekcja prosi o dokładne podanie odnośnych faktów z powołaniem się na numer (uwidoczniony na opasce na ramieniu) pracownika obsługującego klienta.

Uwagi te będą dokładnie zbadane i w miarę możności uwzględnione.

Klienci Orbisu będą niewątpliwie zadowoleni z tego urządzenia, które świadczy o dbałości o sprawność obsługi.

Ruch wydawniczy

TURYSTYKA, JAKO DZIAŁ GOSPODARKI NARODOWEJ

Wpływ ruchu turystycznego na bilans handlowy i płatniczy, oraz na ogólną gospodarkę kraju, jest dziś przedmiotem szczególnego zainteresowania w krajach, które mogą prowadzić politykę turystyczną. Niektóre z nich opierają zamożność mieszkańców i rozwoj wielu przemysłów na ruchu turystycznym.

O roli turystyki w współczesnej gospodarce narodowej, ze szczególnem uwzględnieniem Polski, dowiadujemy się z świeżo opublikowanej pracy mjr. Mieczysława Fularskiego, Naczelnego Dyrektora Orbisu, wydanej pod tyt.? Turystyka, jako dział gospodarki narodowej" w serji „Biblioteki Turystycznej Orbisu".

Podkreśliwszy znaczenie turystyki w życiu politycznem, kulturalnem i ekonomicznem narodów, autor omawia pozycje bilansu handlowego i płatniczego w związku z turystyką, oraz przemysły, opierające swój rozwój na turystyce. Ciekawe cyfry i wykresy ilustrują wpływ ruchu turystycznego i stosunkowo niski udział Polski.

Ćwierć miljarda złotych wynoszą w przybliżeniu ogólne obroty ruchu turystycznego w Polsce. Suma ta wskazuje, jak wielkie znaczenie ma turystyka w naszej gospodarce narodowej.

Praca mjr. Fularskiego jest nietylko stwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy, lecz daje wskazówki, w jakim kierunku iść powinna akcja nad rozwojem ruchu turystycznego u nas, oraz wnioski, interesujące zarówno działaczów turystycznych, ekonomistów, przemysłowców, jak szerszą publiczność w Polsce, która jest krajem wielkich możliwości turystycznych.

NOWA PUBLIKACJA O ŚLĄSKU

„Przewodnik po ziemi Śląskiej"

A. Mikulski. Wydawnictwo P. A. T. 1935.

Świeżo ukazała się nowa publikacja o charakterze przewodnikowym. Na treść jej składają się artykuły: Informacje statystyczne — Wojew. Śląskie — Krajobraz — Górnośl. Zagłębie Węglowe — Śląsk Zielony — Beskidy Śląskie — Okręg przemysłowy — Zabytki sztuki — Stroje ludowe — Komunikacja — Uzdrowiska oraz szereg opisów miast śląskich.

Całość obok jęz. polskiego posiada również teksty francuski i niemiecki oraz wielką ilość dobrych fotografij.

Jest to publikacja nader pożyteczna, jakkolwiek traktowana nieco pobieżnie. Pod względem graficznym prezentuje się dobrze.

Z FRANCJI

ORYGINALNY SPACER PODZIEMNY

Często w grotach podziemnych znajdują się stawy i małe strumyki. Ale prawdziwą rzekę, długości trzech kilometrów, płynącą na głębokości 103 m. pod powierzchnią ziemi, po której można odbywać spacery łódkami, można chyba zobaczyć tylko w Puits de Padirac, niedaleko wioski Racamadour, znanej pielgrzymom nietylko we Francji.

Puits de Padirac znajduje się w departamencie Lot na południu Francji. Wygodne schody prowadzą do brzegu tej oryginalnej rzeki zwanej Plane. Na dole czekają na zwiedzających płaskie barki. Niemniej ciekawe jest obejrzenie grot stalaktytowych o przedziwnych formach, rzęsiście oświetlonych elektrycznością. Największa grota le Grand Dôme ma 60 metrów długości i 90 metrów wysokości.

Zapisujcie się na członków Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego — składka roczna wynosi zł. 14,30, płatnych kwartalnie.

PRENUMERATA ROCZNA zł. 5.—; półroczna zł. 3.—. CENY OGŁOSZEŃ: Na 1-ej stronie 70 gr., w tekście 60 gr., za tekstem 50 gr., komunikaty zł. 1.—, opisowe zł. 1.50, wszystko za 1 milimetr jednoszpaltowy (na stronie 6 szpalt). Drobne 20 gr. za słowo. Od cen powyższych żadnych rabatów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Wydawnictwo nie odpowiada. Do bezpłatnego przedruku ogłoszeń Wydawnictwo jest obowiązane tylko w razie zniekształcenia tekstu, wynikłego z winy Wydawnictwa, a zmieniającego sens ogłoszenia. Fotografij ani rękopisów Wydawnictwo nie zwraca. Przedruki dozwolone tylko za zgodą Redakcji.

Redaktor i wydawca: St. Garztecki. Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Wilcza Nr. 6, tel. 8-83-84. P. K. O. Nr. 9389. Zakł. Graf. „DRUKPRASA" Nowy-Świat 54. Tel.: 615-56 i 242-40